Nr. 3. Poznań, Niedziela, dnia 15 Stycznia 1905 r. Rok IX.

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Treść nr. 3-go.

Następstwa upadku Portu Artura.

Upadek twierdzy port-arturskiej, łubo nieunikniony i zdawna przewidziany, wywarł potężne wrażenie jak zwykle fakt dokonany a następstwa jego muszą być pierwszorzędnej doniosłości nietylko na teatrze wojny, ale także w dziedzinie polityki międzynarodowej.

Przez zajęcie tego ważnego punktu strategicznego, będącego kluczem do Mandżuryi, Japonia zatwierdziła i uzupełniła swe zwycięstwo na morzu. Dziś jest absolutną panią na wodach chińsko-japońskich; flota rosyjska przestała istnieć a twierdza, która była wyrazem władzy rosyjskiej na morzach azyatyckich, upadła. Eskadra Rożdzestwieńskiego, błąkająca się gdzieś w okolicach Madagaskaru, jeźli wogóle nie zostanie odwołaną, jeźli tymczasem pokój nie zostanie zawarty i dopłynie do wybrzeży wschodniej Azyi, nie potrafi już poważnie zagrozić Japonii i wskrzesić potęgi rosyjskiej na morzu. A nie posiadając zwycięskiej marynarki, Rosya nie może marzyć o wydarciu Japończykom zdobytej twierdzy, gdyby nawet armia lądowa pobiła Oyamę na głowę i dotarła do półwyspu Laontungskiego Bez współdziałania floty Japończycy nie byliby zdołali zdobyć Port-Artura, tak samo więc bez floty Rosya nie może pokusić się o wydarcie go Japończykom. I tak Rosya jako potęga morska w Azyi, przestała istnieć.

W pierwszym rzędzie zyskuje Japonia armią siedemdziesiąt tysięczną, która przygwożdżona u stoków port-arturskich, nie mogła brać udziału w stanowczej rozprawie z armią Kuropatkina. Przypuściwszy, że około dziesięciu tysięcy chłopa wypadnie pozostawić w zdobytej twierdzy, mniej więcej 50 tysięcy żołnierza powiększy niebawem zastępy marszałka Oyamy pod Mukdenem. Prócz tego otrzymuje on nieustannie posiłki i poważna liczba wojsk jego wzrośnie jeszcze przez dywizye z wyspy Formozy. Zważywszy to, znawcy wojskowi wyrażają wątpliwość, aby Rosya z tą samą szybkością i w tej samej mierze była zdolna powiększać siły Kuropatkina. Dzięki zatem zdobyciu Portu Artura Japonia ma zapewnioną przewagę liczebną pod Mukdenem na czas najbliższy. Przypuszczać więc można, że skoro tylko zima zbliżać się będzie ku końcowi, Japończycy będą starali się wyzyskać swą przewagę i rozpoczną na nowo kroki wojenne.

Lecz następstwa upadku Portu Artura nie ograniczają się na tem. Sięgają one — jak zaznaczyliśmy — w głąb polityki mocarstw europejskich oraz wewnętrzne sprawy Rosyi.

Japonia stając się absolutną panią na wodach azyatyckich staje się groźną dla *Niemiec*. Rząd niemiecki rozumiał to od początku wojny; z tego powodu też niemniej jak dlatego, że Rosya jest dla Niemiec znakomitym rynkiem zbytu, starał się jaskrawo ujawnić swe sympatye dla caratu. Zadatkiem przyjaźni rosyjsko niemieckiej w Europie jest — jak wykazaliśmy dawniej — rozbiór Polski, a w Azyi — traktat w Simonoseki, w którym pospołu z Rosyą Niemcy odebrały Japonii owoce zwycięstw i zyskały Kiauczau kosztem Chin. Czy odebrawszy Rosyi wydartą sobie twierdzę port-arturską Japonia nie zażąda od Niemiec wydania Chinom Kiauczau? Byłoby to logiczną konsekwencyą. Prasa amerykańska wypowiada to zdanie bez ogródek. uważając że Niemcy ponoszą tę samą moralną odpowiedzialność co Rosya za wojnę i dopóki są w posiadaniu Kiauczau zagrażają pokojowi w Azyi. Niemcy nietylko same sięgnęły po posiadłość chińską, ale nakłoniły Anglię do zabrania Wei-hai-wei. Rząd angielski rozradowany sukcesem oręża japońskiego byłby skłonnym do zwrócenia Chinom tej wzmiankowanej posiadłości, którą zabrał tytułem dzierżawy jako manifestacyą przeciw Rosyi, oraz dlatego aby uzyskać punkt strategicz-

ny, czuwający nad rosyjskim Portem Artura. Z głosów prasy angielskiej wnosić można, że Anglia nie wahałaby się przyczynić do odbudowania Chin z przed traktatu w Simonosaki, Niemcy zaś nie zdradzają do tego najmniejszej skłonności. Przeciwnie. W Kiauczau przedsięwzięły Niemcy rozległe prace fortyfikacyjne i zwiększają załogę, widocznie obawiając się, by Japonia nie zrobiła z nimi obrachunku. Czy obawy Niemiec okażą się uzasadnione, przewidzieć się nie da, dość że dziś po upadku potęgi rosyjskiej na morzu Żółtem, Niemcy tem więcej muszą liczyć się z państwem wschodzącego słońca. Zresztą wzrastający ferment w caracie niekorzystnie odbija się na sprawach finansowych w Niemczech; ogólna niepewność bowiem spowodowuje zastój w interesach i nieufność pociągającą za sobą brak gotówki.

A wrzenie w Rosyi przybiera takie formy i rozmiary, że nawet najwięksi sceptycy poczynają wierzyć w możność rewolucyi. Upadek Portu Artura jest nową bronią przeciw caratowi i absolutyzmowi dla wszystkich łaknących wolności i konstytucyi żywiołów. Według berlińskiego „Tageblattu" (patrz Przegląd prasy) „głębokie rozgoryczenie" wywolane wiadomością o kapitulacyi twierdzy, którą ogłaszano za niepodobną do zdobycia, może snadnie rozniecić pożogę rewolucyjną. Kapitulacya generała-bohatera, którego pospólstwu przedstawiano jako półboga, sromotnie odbić się musi na powadze rządu i zachwiać wiarę maluczkich w doskonałość dzisiejszej formy rządu. Że tajne związki wyzyskają sytuacyę, nie ulega wątpliwości. Niemniej sfery liberalne, oblane zimną wodą przez manifest carski, przybierają wobec klęski rosyjskiej postawę, która równa się niemal wypowiedzeniu otwartej wojny caratowi.

Klęska port-arturska właśnie w tym momencie, gdy car w swym ukazie rzucił znowu hasło absolutyzmu, stanie się silną podnietą dla rozbudzonego narodu rosyjskiego, potężnym czynnikiem agitacyjnym dla nieprzyjaciół autokratyzmu.

Ordon.

Typ księdza germanizatora.

Do galeryi księży germanizatorów, którzy dali się we znaki ludowi polskiemu, dorzucił „Kur. Pozn." niedawno wizerunek ks. prob. Prandtkego ze Śmiełowa. A pomiędzy niemieckimi księżmi w Poznańskiem ks. Prandtke nie jest odosobnionym; sam „Kuryer" bowiem przyznaje, że „w duchowieństwie niemieckiem, z małemi chyba wyjątkami, *hakatyzm jest rozwinięty do najwyższego stopnia.*" Wobec tego sprawa ks. Prandtkego nabiera społecznego znaczenia i ujawnia — jak to „Praca" wykazała — nowe niebezpieczeństwo zagrażające ludowi w Wielkopolsce: germanizacyą ze strony księży-Niemców.

Napróżno tłomaczył się proboszcz śmiełowski w centrowo-hakatystycznej „Germanii", że nie wypędził języka polskiego z swego kościoła. Na wywody jego odpowiedział, jak wiadomo, prodziekan dekanatu nakielskiego ks. I. Tesmer i wystąpił z całym arsenałem dowodów, w których świetle upadają twierdzenia ks. Prandtkego. Świadkowie przesłuchiwani na terminie dn. 28 z. m. zarządzonym przez kapitułę gnieźnieńską zeznali, że od 2 lat nie było polskich kazań w Śmiełowie, że dzieci pobierały naukę katechizmu po niemiecku, że wszystkie polskie nabożeństwa poznoszono itd. a nadto że ks. Prandtke przed terminem starał się groźbą odstraszyć świadków zeznań na swą niekorzyść. Gdy ks. komisarz, przeprowadzający śledztwo zapytał ks. P. czy nie uznaje potrzeby polskich kazań, zainterpelowany proboszcz oświadczył po dłuższym namyśle, że *rezygnuje* ze Śmiełowa.

Nie wiadomo, czy rezygnacyę tę można uważać za prawomocną, czy ks. P. równocześnie doniósł o swej decyzyi kapitule i zdania swego nie zmienił. To pewna, że w parafii śmiełowskiej zarówno Niemcy jak Polacy przyjęliby ją z uczuciem ulgi i zadowolenia.

Duchowieństwo nakielskie w obawie o stan wychowania religijnego dzieci śmiełowskich, stawiło wniosek do władzy duchownej, aby zajęła się sprawą katechizacyi dzieci, ponieważ:

1) Tamtejsze dzieci polskie pobierają naukę do Sakramentów św. w języku niemieckim.

2) Tamtejszy duszpasterz językiem polskim nie włada i nie stara się, aby go sobie choć jako tako przyswoić — nadto

3) upośledzeni są tamtejsi polscy parafianie na punkcie kazań, bo przez rok cały nie słyszą polskiego kazania.

W piśmie tem stwierdzają duchowni, że wbrew twierdzeniu ks. Prandtkego jeszcze przed rokiem było w parafii śmiełowskiej 240 Polaków, że „przez lat 7 pasterzowania ks. P. wi-

Z TEATRU.

„Wojna podczas pokoju" — komedya Mosera, zlakolizowana przez G. Z.

W roku zeszłym mieliśmy sezon operetkowy, w tym roku sezon — fars przeplatanych raz po raz dramatami jak „Zbójcy," „Mazepa," „Otello." Podczas gdy na innych mniejszych scenach pojawiają się, chociaż tylko od czasu do czasu nowości literatury dramatycznej, które widzów zapoznają z dziełami i prądami na dobie, u nas znajdują gościnność farsy, niemieckie, polskie i francuzkie, zmęczone długoletnią wędrówką i tu, niby w lazarecie, składają swe kości na łożu reklamy i uznania.

Tak tedy przywędrowała zbutwiała komedya Mosera: „Wojna podczas pokoju" i na poznańskiej scenie stała się premierą, lubo nie rości sobie już pretensyi do tego, by jak za młodych lat czarować widzów wdziękiem nowości.

Śmieszne upodobanie wszystkich Gretchen i Mariechen do lśniących guzików, os g i pikelhauby wyzyskał Moser zgrabnie, uosabiając je w kilku niewiastach różnego wieku, stanu i temperamentu.

Podstarzała Garnuszkiewiczowa wzdycha do młodych poruczników jak do wspomnień dawnych, sentymentalna Marya pragnie ich towarzystwa jako czynnika wprowadzającego promień życia w małomiasteczkowy senny nastrój, lecz serce oddaje zaściankowemu Filonowi zaklętemu w śmieszną figurę aptekarza. Pokojówki wyobrażają prymitywny pociąg do umundurowanego chłopca, panna Elli wreszcie z fantazya swa i romantyzmem wpada w pajęczą siatkę amorów z ułanem i przebywa szereg przejść duchowych, w których kobiecość jej mieni się barwami tęczy. W motylowej, żywej komedyi najwięcej literackiej wartości mają sceny erotyczne pomiędzy Ellą a porucznikiem Skrzyckim. Wlał w nie autor strumień swych uczuciowych zasobów, poruszył struny sercowe widza subtelniejszemi tonami.

Szkoda, że właśnie delikatnie napisana scena ogrodowa przed Kupidynem wypadła tak słabo, że cały literacki urok sztuki uleciał, pozostawiając li tylko — farsę. P. Wiślański jako Skrzycki, umiał być tylko sztywnym suchym i nieznośnym. Nie kochał się ani trochę w pannie Laskowskiej, która ze swej strony okazała brak rutyny, subtelności i umiejętności wcielenia się w daną sytuacyę. Jedynie w ostat-

doczna dziala się im krzywda" ą ci *„jako wyłącznie ludzie prości i nieinteligentni nie umieli sobie w tym względzie poradzić."*

W odpowiedzi na replikę ks. P. w „Germanii", ks. dziekan Tesmer ogłasza w „Kuryerze" pismo to w całej rozciągłości i wreszcie na pytanie „o co się ks. Prandtke gniewa?" — odpowiada co następuje:

„Twierdziliśmy, że:

1) polskie dzieci w Śmiełowie pobierają naukę do Sakramentów św. w języku niemieckim — tego ani ks. Prandtke nie zaprzeczy.

2) że ks. Prandtke polskim językiem nie włada, to przyznaje sam ks. Prandtke, bo mówi: „wahr ist nur, dass ich nicht polnisch sprechen kann."

3) że tamtejsi polscy parafianie przez cały rok polskiego kazania nie słyszą — toć i tego ks. Prandtke nie zaprzeczy, że przez ostatnie dwa lata nawet tego jednego polskiego kazania nie było.

4) że polskich parafian jest prawie połowa. — To nasze twierdzenie (jak się później wykazało mylne) zmusiło nas do niezwłocznego stwierdzenia polskich parafian. Skorośmy się przekonali, że podług podpisów jest ich tylko $^1/_5$ (n. b. jeżeli parafia śmiełowska liczy 1200 dusz, bo my twierdzimy, że i tysiąca niema, — sam ks. Prandtke oświadczył na terminie, że ma rocznie przeciętnie tylko 30 dzieci na nauce do spowiedzi i komunii św.) — natychmiast cofnęliśmy przed władzą nasze mylne twierdzenie, o czem ks. Pr. chyba wie.

O co się tedy gniewa? — Co go upoważniało do pisania tak grubiańskich listów do władzy i do dziekana? Ks. Prandtke jest śmiały — w tym przypadku bezczelnym — bo czuje za sobą falangę pokrewnych duchem księży-Niemców i cały hakatyzm. Ostatnia korespondencya w „Germanii" niczego nie dowodzi, — podpisali ją Niemcy i steroryzowani lub zgermanizowani Polacy, — ci naturalnie rozumieją jego kazania, — o spowiedzi nic nie mówią.

Zupełnie słusznie pisze się o hakatyźmie w duchowieństwie niemieckiem, bo jest pomiędzy nimi — z małemi chyba wyjątkami — hakatyzm rozwinięty do najwyższego stopnia! Moralne zwycięstwo już dzisiaj po naszej stronie, — dowodem Rokitno. Rozumni Niemcy, co dobrze sprawę znają, przyznają nam racyę."

Na ten artykuł ze strony duchowieństwa w dekanacie nakielskiem gazety hakatystyczne odpowiedziały znaczącem milczeniem. „Germania" zaś, nazywając to „polską hecą" na ks. P. zapowiada, że „ks. P. odpowie później na wywody ks. Tesmera a tymczasem ogłasza nadesłane przez niego dokumenta, które mają wykazać, w jaki sposób *wyludzono* (!?) z parafian jego podpisy pod petycyę o polskie kazania." W istocie część parafian podpisała księdzu Pr. świadectwo, że są zadowoleni z niego, kazania jego rozumieją itd. a w dodatku oświadczają, iż podpisując petycyę o polskie kazania sądzili, iż *o tem wie ks. proboszcz i na to się zgadza.*

Ci parafianie występują w obronie swego germanizatora „bez względu na to cokolwiekby się stać miało." Ale jacy to parafianie? Otoż co pisze „Kur.":

„Wyrażamy zdziwienie wobec naiwności ks. Prandtkego. Najgłupszemu Polakowi nie wmówi przecież ks. Prandtke, iż człowiek, który nie chce wcale słuchać kazań po polsku ani udzielania nauki w tymże języku dla dzieci swoich nie pragnie, jest Polakiem. Stwierdziły też to wszystkie te Gertrudy i Wilhelminy jak najwyraźniej, iż są Niemkami i nie mówią jak się zdaje wcale po polsku skoro podpisały się Szymanowski, Sarnecki, Brzeziński.

Dla Niemców przecież duchowieństwo nakielskiego dekanatu nie żądało duszpasterstwa w języku polskim, lecz dla Polaków — dla tych świadomych, którzy prosili o nie i dla tych, którzy znajdują się pod takim wpływem germanizacyjnym, iż bezwiednie się niemczą."

Dalej podaje „Germania" oświadczenie dozoru kościelnego, z którego przedewszystkiem wynika, iż jego członkowie to germanizatorzy najczystszej wody — jak oświadcza „Kuryer". Wychodząc z założenia, że „polskie dziecko musi rozumieć po niemiecku ponieważ chodzi do niemieckiej szkoły," uważają, że wszystko jest w porządku.

Skryptem tym nie możemy zajmować się szczegółowo. Zresztą polemika w tej materyi nie zakończona jeszcze a obraca się wśród kwestyi, które dla nas są podrzędne. Tymczasem chodzi nam o podkreślenie kilku punktów tej bogatej w nauki sprawy.

Zastanawiają nas głównie dwie rzeczy.

Kto zna tę sprawę, musi stawić sobie pytanie, jakim sposobem dostał się na probostwo w części polskie kapłan nie umiejący po polsku. Gdyby to się stało w dyecezyi podlegającej ks. kard. Koppowi nie dziwilibyśmy, bo wiadomo, że tam każdy środek wiodący do germanizacyi ludu polskiego uchodzi za dobry. Ale w Księstwie każdy Polak-katolik ma chyba prawo oczekiwać, aby władza duchowna nie dawała instytucyi na probostwa mieszane księżom nie władającym po polsku i nie chcącym się nauczyć języka polskiego, aby nie przykładała tym sposobem ręki do germanizacyi ludu polskiego.

Nie mniej bolesnym i zatrważającym jest stan polskiego ludu, który odsłoniła nam tak wyraźnie ta polemika. Z całej sprawy, a głównie z świadectwa wystawionego przez parafian ks. Prandtkemu wynika, że lud tamtejszy jest zupełnie niekulturalny, bo dający się wodzić za nos na prawo i na lewo. Jak pisze b. organista tamtejszy p. Pufal, *„lud ubolewa w cichości"* na germanizacyą kościoła swego parafialnego, ale tylko nie umie sobie poradzić, ale broni swego księdza germanizatora. „Nur die grössten Kälber....." Klasycznem jest poprostu wyznanie tych obrońców, iż petycyę o polskie kazania podpisali jedynie w mniemaniu, że dzieje się to z wiedzą i wolą ks. Prandtkego. Widocznie bardzo słusznie nazwali księża dekanatu nakielskiego tych parafian „prostymi i nieinteligentnymi," gdyż okazuje się, że *lud ten bez wiedzy i woli proboszcza nie jest zdolny do najmniejszego kroku,* nawet do obrony swych dzieci przed germanizacyą i zobojętnieniem religijnem, innemi słowy, że jak bydełko daje się prowadzić na pasku bez myśli, bez woli, bez rozumu i tak — germanizuje.

Nie możemy położyć na to zbyt silnego nacisku. Tylokrotnie wyrażaliśmy przekonanie, że tu w Księstwie, pod nosem, różne czynniki niemieckie germanizują lud polski, a zwłaszcza na kresach gdzie lud polski zlewa się z

---

nim akcie miała kilka szczerych dźwięków w głosie. Panna Wielgard nie zadała sobie pracy, by ucharakteryzować się i urobić na małomiasteczkową obywatelkę. P. p. Czerniak (Garnuszkiewicz), Dobrzański (Pospiesznicki), Dybizbański (Kapsułkiewicz) stworzyli dobre typy mieszczuchów, a pp. Szczurkiewicz (jenerał), Poleński (lekarz) i Prochaska (Szykowski) dość poprawnych wojskowych, chociaż ten ostatni zanadto robił szykownego, a zamało był nim. Wdzięczną rolę kaprala-Czecha p. Turski wyzyskał dobrze. Z małej roli naiwnej Maryi panna Gawlikowska zrobiła miłego podlotka, a panna Teodorowicz z Julii zbyt ciężką i bezradną doktorową.

Przedstawienie, pełne usterek, ratowało szybkie tempo.

Roman Rola.

niemieckim i nawoływali do założenia towarzystwa dla kresów, które wejrzałoby w to ściśle i przedsięwzięło akcyę ratunkową. Niestety nie odrazu przyjmują się na naszym gruncie myśli natchnione prawdziwym patryotyzmem. Obecnie sprawa śmiełowska ukazuje ogółowi namacalnie co się dzieje w parafiach mieszanych, otwiera oczy na hakatyzm w duchowieństwie niemieckiem, które duszpasterzy w tylu probostwach.

Raz jeszcze powtarzamy, że naszem zdaniem prasa ludowa winna przygwoździć tę sprawę i pracować nad usamodzielnieniem i uspołecznieniem tych „prostych i nieinteligentnych" jeźli zadanie swe społeczne rozumie i dorosła do niego.

Jedynie pocieszającą rzeczą w tej materyi jest postępowanie duchowieństwa dekanatu nakielskiego. A „Kuryerowi" należy się uznanie za to, iż otworzył swe łamy dla tej sprawy. Oby tylko wyłaniająca się z niej nauka nie przebrzmiała!.....

Quis.

Z niwy politycznej

Od sekretarza Koła polskiego w sejmie pruskim, posła dra Niegolewskiego odbieramy następujące pismo:

Wobec tego, że sejm nie został zamkniętym, tylko odroczonym, Koło polskie sejmowe postanawia, aby skład zarządu Koła pozostał ten sam, co w roku ubiegłym. — Jako mówcy etatowi wyznaczeni zostali ks. prałat dr. Jażdzewski i dr. Dziembowski.

* * *

Poseł hr. Maciej Mielżyński ma w najbliższym czasie zainterpelować w parlamencie ministra wojny w sprawie szykan praktykowanych w wojsku na Polakach. Celem skompletowania swego materyału uprasza poseł hr. M., aby wszyscy dotknięci szykanami ze strony władz wojskowych czy to w czasie służby wojskowej, czy to jako rezerwiści lub dostawcy, albo wreszcie ich rodziny i przyjaciele, zechcieli jaknajprędzej zdarzenia skrupulatnie opisać, o ile możności opatrzyć dowodami i materyał ten nadesłać na jego ręce do parlamentu niemieckiego lub do redakcyi „Pracy."

Skarg na władze wojskowe mogliby Polacy podnieść setki, lecz albo z opieszałości, albo z obawy przed dalszemi szykanami wiele oburzających zajść pozostaje tajemnicą. Otóż obawy takie są po największej części nieuzasadnione. W tym razie, nazwiska tych, którzy mogliby być poszkodowani przez wytoczenie swej sprawy w izbie parlamentarnej, będą pokryte milczeniem.

Zarazem zwracamy uwagę Szanownych Czytelników na odezwę posła *Alfreda Chłapowskiego*, ogłoszoną w rubryce: Wiadomości i polecamy ją pamięci wszystkich gorliwych obywateli.

* * *

Ks. kardynał Kopp, znany nasz przyjaciel, stara się nakłonić *Watykan*, aby przyłożył rękę do germanizacyi Polaków za pomocą kościoła i pomógł rządowi pruskiemu. Aczkolwiek koła watykańskie są dobrze usposobione względem Niemiec, Ojciec św. jednak *nie zdaje się wcale skłonnym* do zaprzedania swych polskich katolików Prusom. Korespondent rzymski „Berl. Tagebl." donosi, iż pewien prałat watykański oświadczył, że mimo usiłowań ks. kard. Koppa nie zanosi się na to, aby sprawa polska wkrótce miała być załatwioną w myśl rządu niemieckiego. „Zachodzi nawet obawa — rzekł prałat Ojca św. — że *kwestya polska* prędzej czy później wznieci pomiędzy Watykanem a Niemcami *ciężkie chmury*."

Mamy zaufanie, że Stolica Apostolska oprze się wpływom i machinacyom ks. Koppa. Watykan okazał się dotąd dobrze poinformowanym o dol polskich katolików pod rządem pruskim i całemu narodowi polskiemu wyraził sympatyę swą w słowach niezapomnianych tak, iż usiłowania naszych najserdeczniejszych winny spełznąć na niczem i Ojciec św. nie da użyć Kościoła do celów germanizacyjnych żywiołu polskiego.

„Kur. Pozn." i „Germania" zaprzeczają wiadomości, jakoby ks. kard. Kopp agitował w Watykanie przeciwko Polakom, wszelako wieść ta zbyt wiele ma prawdopodobieństwa, abyśmy przez lakoniczne dementi dali się odwieść od powziętego podejrzenia. „Berl. Tag." miewa z Watykanu raz po raz informacye, które prawie nigdy nie mijały się zupełnie z prawdą.

* * *

Ks. Mirski ustępuje — donosi „Berl. Tagebl." — a w jego miejsce ma zostać ministrem spraw wewnętrznych *Witte*, prezes komitetu ministrów którego powszechnie poczytują za autora znanego ukazu carskiego. Wiadomość ta jest podobno oficyalnie potwierdzoną i już w najbliższych dniach ma być ogłoszoną.

Witte, który jako minister finansów okazał się bardzo zdolnym mężem stanu, jest zwolennikiem *reform* wyszczególnionych w ukazie, i zamierza niezwłocznie wprowadzić je w życie. Natomiast uchodzi za przeciwnika konstytucyi i zwołania ciała reprezentacyjnego, które miałoby charakter ustawodawczy. Co się tyczy wojny — pisze „Berl. Tagebl." — Witte nie sprzeciwiałby się interwencyi ze strony jakiego mocarstwa t. j. skłania się do pokoju pod honorowymi warunkami.

Pomimo że osobistość Witte'go jako męża niepospolitej inteligencyi, daje rękojmię, iż wiele niezbędnych reform wejdzie w życie, upadek ks. Światopełka Mirskiego z pewnością wywrze przygnębiające wrażenie w szerokich kołach rosyjskiego ogółu. Można powątpiewać, czy półśrodki Wittego okażą się skutecznem lekarstwem na rosyjskie kryzys.

* * *

Czertkow ustępuje! Tak przynajmniej donosi w formie stanowczej berl. „Tageblatt." Rozruchy przy mobilizacyi w Królestwie spowodowały dymisyę general-gubernatora warszawskiego. Faktem jest, że z powodu choroby (?) złożył kierownictwo spraw wojskowych i cywilnych w ręce pomocnika namiestnictwa gen. Podgorownikowa. Następcą Czertkowa ma być zamianowanym w nowy rok starego stylu general baron *Meyendorf*, obecnie przebywający w Mandżuryi, który przed wojną należał do wileńskiego okręgu wojskowego. Organ berliński podnosi z zadowoleniem, że Meyendorf jest zruszczonym Niemcem i dobrze znanym w kołach berlińskich. Z tego możnaby wnosić, że w Petersburgu kierowano się względami na Berlin przy zamianowaniu następcy Czertkowa. Ustąpienie tego reakcyonisty przyjmie Warszawa z ukontentowaniem.

* * *

Z powodu *upadku Portu Artura odbyła się wielka demonstracya*... nie w Tokio, lecz w Stanisławowie. „Przyjęła w niej udział publiczność ze wszystkich warstw — zapewnia „Słowo Polskie" — w liczbie *kilku tysięcy*. Przed pomnikiem Mickiewicza (!!) wygłoszono mowę okolicznościową przyjętą z zapałem." Oczywiście inicyatywę do tego dało Tow. Młodzieży Polskiej, która

w Galicyi cierpi na istną manię urządzania manifestacyi i ulicznych widowisk. Radość z upadku Portu Artura jest całkiem zrozumiałą, ale manifestacya jej zakrawa na śmieszność, zwłaszcza że odbyła się przed pomnikiem Mickiewicza, którego z sprawą Portu Artura kojarzyć mogą jedynie gorączkowe, wybujałe umysły młodzieńcze. Nie jesteśmy zasadniczymi nieprzyjaciołmi manifestyi ze strony młodzieży; przeciwnie głos młodej generacyi cenimy i sądzimy, że może on zaważyć nieraz na szali losów, atoli jeżli młodzież radości z powodu takiego wypadku nie może zamknąć w przyzwoitych granicach, podkopuje wiarę w swą równowagę umysłu i dojrzałości. Hałaśliwe demonstracye a propos des bottes, jak powiedział by Francuz, nie są bynajmniej znamieniem siły ducha; przeciwnie — słabości, objawiającej się w fajerwerkach i słomianych płomieniach. Demonstracye radosne z powodu tej klęski rosyjskiej zostawmy Japończykom.

Młodzież galicyjska różni się dyametralnie od wielkopolskiej. Pierwszej trzebaby uszczuplić zapału, naszej zaś dodać, gdyż zanadto wytrzeźwiała. A zbyt trzeźwa *młodzież* to nie młodzież, to nie materyał, z którego czas mógłby zrobić patryotycznych obywateli.

* * *

Polski ruch spółkowy budzi żywe zainteresowanie wśród Niemców. „Blatt für Genossenschaften" zamieścił interesujący i obszerny artykuł, w którym przeprowadza porównanie między polskiemi i niemieckiemi spółkami w Księstwie Poznańskiem i w Prusach zachodnich.

Następująca tablica uwidacznia tę paralelę:

	Liczba spółek	liczba członków	udzielony kredyt	aktywa	udział	rezerwa	obce kapitały
niemieckie spółki	676	77055	69·7	80·1	7·27	3·15	60
polskie spółki	141	63825	52·0	80·0	8·20	2·90	52

milionów marek,

Okazuje się przeto, że choć liczba spółek niemieckich jest daleko większa niż polskich, ale działalność spółek polskich dosięga prawie tych samych rozmiarów. Zapotrzebowanie kredytu jest stosunkowo mniejsze u polskich spółek niż u niemieckich, stosunek zaś kapitałów obcych jest odwrotny.

Autor tego sprawozdania wyraża się z uznaniem o kupieckich zasadach polskich spółek, chwali ich punktualność i rzetelność i stawia je pod niejednym względem jako wzór niemieckim instytucyom. Oczywiście, że główną myślą przewodnią jego artykułu jest zastanowienie się nad sposobami zatamowania spółek polskich. Autor widzi jako najskuteczniejszy ku temu środek rzetelną konkurencyę na polu praktycznem, wykluczając wszelką ingerencyę ze strony rządu. Konkurencyjne instytucye miejskie i powiatowe szkodzą w pierwszym rzędzie spółkom niemieckim, również krytykuje autor znany reskrypt ministeryalny nakazujący urzędnikom państwowym zerwanie wszelkich stosunków ze spółkami polskiemi.

Autorowi chodzi głównie o to, że dużo spółek niemieckich zawdzięcza swoje istnienie i wzrost (niestety!) kapitałom polskim, które mogłyby zostać wycofane, jeślibyśmy zechcieli przeprowadzać zasadę narodową w tych instytucyach finansowych. Również i centralna kasa pruska nie powinnaby — zdaniem autora — odmawiać pożyczek spółkom polskim, bo w takim razie centralna kasa polska zyskałaby tem większy wpływ na spółki polskie.

Wogóle autor niemieckiego artykułu okazuje się zwolennikiem zasady wolnej konkurencyi. Ale spółki polskie obawiać się jej nie mają powodu.

Przeciwko samodzierstwu.

Naród rosyjski, trzymany przez wieki w kajdanach niewoli, podnosi głowę i występuje przeciwko absolutyzmowi, któremu przez upadek Portu Artura nową zadano klęskę. Jesteśmy świadkami jak powoli, ale stale usuwa się grunt z pod nóg dawnemu porządkowi rzeczy w Rosyi, jak dążności konstytucyjne i wolnościowe torują sobie drogę.

Przeciwko samodzierstwu zeszeregowały się wszystkie warstwy, prócz sfer urzędniczych, i to szczególnie upoważnia do przypuszczenia, że ruch konstytucyjny nie jest objawem przejściowym, nie da się stłumić, lecz wyjdzie zwycięsko. Przeciwko rządowi stanął naród. Nietylko tajne stowarzyszenia pracują nad podminowaniem podstaw absolutyzmu, nietylko liberalne żywioły w ziemstwach i w inteligencyi miejskiej występują śmiało z projektami reform i swobód obywatelskich, ale pospołu z niemi idą światlejsi *zachowawcy rosyjscy*, gdyż i oni nie są ślepi na straszną gospodarkę czynownictwa, która w bardzo wielkim stopniu jest odpowiedzialną za klęski rosyjskie na teatrze wojny. Jakie poglądy panują pomiędzy konserwatystami w Petersburgu wysondował przed kilku miesiącami korespondent wiedeńskiej „Neue Freie Presse," który rozmawiając z pewnym byłym dyplomatą rosyjskim dawnego autoramentu zdumiał nad głębokiem niezadowoleniem jego z dotychczasowej formy rządu. Konserwatyści różnią się od liberałów o tyle, że nie wierzą w parlamentaryzm i zbawienne jego skutki dla Rosyi, lecz niemniej pragną udziału ludności w rządzie, okiełznania satrapów urzędniczych, wolności prasy i dźwignięcia stanu włościańskiego.

Manifest ogłoszony równocześnie z znanym ukazem carskim, w którym rząd strofuje ziemstwa za to, że zajmowały się sprawą reform, (do czego notabene były upoważnione przez ks. Mirskiego) nie zamknie ust ziemstwom, nie poskromi już fali konstytucyjnej. Przeciwnie; „Oswobodzenie," organ petersburski, twierdzi, że manifest ten wywrze skutek wręcz odwrotny, że „zakaz obradowania i pisania o zasadniczych zmianach w formie rządowej *równa się wywoływaniu gwałtów*." Wobec tej niespodzianej i niezasłużonej nagany ziemstwa zajęły postawę wręcz *opozycyjną, hardą* tak, iż okazuje się, że wyszły z okresu bierności i uległości i odważają się stawić czoło nawet carowi. Otóż donoszą, że ziemstwa obrażone naganą postanowiły *ostentacyjnie* zawiesić swe prace, co poczytać trzeba za akt wrogi rządowi. Jeszcze śmielej postąpiło sobie ziemstwo moskiewskie. Chociaż car własnoręcznym dopiskiem nazwał adres księcia Galicyna, b. prezydenta Moskwy „beztaktownym i bezczelnym," ziemstwo moskiewskie ośmieliło się równie „bezczelnie" wystosować do cara pismo, domagające się reform. Tenor tego dokumentu nie jest znanym, ale o treści jego jasne daje pojęcie list prezesa tegoż ziemstwa, księcia Trubeckiego równocześnie wysłany do ministra spraw wewnętrznych. List ten polityka konserwatywnego charakteryzuje zarówno usposobienie w łonie zachowawczej arystokracyi rosyjskiej jak w ziemstwie, kołach liberalnych i ziemiańskich gubernii moskiewskiej. Otóż co pisze ks. Trubecki do księcia Mirskiego po wstępie:

„Rosya znajduje się obecnie w epoce *anarchii i rewolucyi*. To, co się obecnie dzieje, to *nietylko rozruchy młodzieży*, lecz raczej odbicie obecnego ogólnego stanu, w jakim znajduje się społeczeństwo rosyjskie.

„Położenie obecne jest *nadzwyczaj niebezpieczne* dla całego społeczeństwa, szczególnie zaś dla uświęconej

osoby cesarza. Dla tego jest obowiązkiem każdego wiernego poddanego wszelkiemi środkami przeszkodzić temu nieszczęściu. — W tych dniach miałem szczęście przedstawić się cesarzowi i otwarcie o ile to mogłem, złożyć mu sprawozdanie o stanie obecnym w społeczeństwie. *Starałem się cesarzowi wyłuszczyć, że to, co się teraz dzieje, nie są to proste rozruchy, lecz rewolucya.* Przedstawiałem też cesarzowi, że naród rosyjski wtrącono w rewolucyę, której on sobie nie życzy. Przeszkodzenie temu leży w mocy cesarza. Do tego prowadzi tylko jedna droga, tj. *zaufanie cesarza do narodu i stanów.* Jestem głeboko przekonany, że jeżeli cesarz tylko pozwoli tym stanom zwrócić się do niego, to Rosya będzie wybawioną *z uszelkich okropności krwawego powstania,* które jej grożą. Naród poprze wówczas swego cesarza, *jego autokracyę* i jego wolę.“

Powyższy ustęp z listu ks. Trubeckiego dowodzi, że najumiarkowańsze nawet żywioły w Rosyi widzą jedyny sposób zażegnania burzy przez reformy i pragną, aby caryzm oparł się na ziemstwach, na narodzie.

Na dworze petersburskim reakcyoniści zawsze jeszcze posiadają mir i wpływ na cara, ale niepodobno wróżyć im długiego panowania, bo nacisk ze strony całej niemal Rosyi jest tak silnym, iż prędzej czy później skruszą się okowy, którymi kamaryla Pobiedonoscewa okuła ster rządu. W tym potężnym ruchu konstytucyjnym, który jak pożar wybucha na różnych punktach i przybiera znamiona rewolucyi, pomaga prasa petersburska. Gazety różnych odcieni jak „Nowoje Wremia,“ „Ruś,“ „Nasze Dni,“ „Oswobodzenie“ przy każdej sposobności chociaż pomiędzy liniami dają wyraźnie do zrozumienia, że obecny stan rzeczy jest nieznośny i domagają się energicznie wolności prasy. „Jeżli rząd nie da nam potrzebnej wolności — pisze n. p. „Nowoje Wremia“ — urzędnicy rozkradą resztę Rosyi.“ To chyba aż nadto wyraźnie. Wprawdzie z drugiej strony są pisma, które w duchu reakcyi występują przeciwko temu naturalnemu ruchowi jak gdyby był on dziełem „bandy wywrotowców,“ lecz głosy te głuchną wśród ruchu konstytucyjnego. Ks. Światopełk Mirski świadomie czy nieświadomie rozbudził nadzieje narodu rosyjskiego oraz rozwiązał do pewnego stopnia język w prasie i ziemstwach. Można powiedzieć, że wywołał wilka z lasu, który dziś już nie da się poskromić. I tak fala konstytucyjna wzmaga się, grozi wybuchem.

Jak wobec tego historycznego procesu ewolucyjnego w Rosyi zachowuje się Królestwo Polskie przedstawimy w osobnym artykule.

Narodowiec.

Walka ekonomiczna
żywiołu polskiego pod rządem pruskim.

II.

(Ciąg dalszy.)

Nie brak wprawdzie i u nas usiłowań, zmierzających do podniesienia naszego handlu i przemysłu, lecz rezultaty ich nie mogą się jeszcze absolutnie równać z tem, co zdziałano na polu rolnictwa. I niema w tem nic dziwnego. Bo społeczeństwo nasze zdołało już wprawdzie w przemyśle i handlu wytworzyć sobie t. zw. stan średni, ale stan ten znajduje się dopiero w pierwszych stadyach swego rozwoju. Przytem — zaznaczam to ponownie — rolniczy aż do tej pory naród nasz nie ma jeszcze tradycyi, ani rozleglejszego doświadczenia w dziedzinie handlowo-przemysłowej, co niewątpliwie oddziaływa hamująco na rozwój warstw mieszczańskich.

Nie bez donioślejszego znaczenia dla rozwoju tychże sfer mieszczańskich są „Towarzystwa przemysłowe,“ istniejące pod rządem pruskim od lat mniej więcej 50. W towarzystwach tych jednoczą się polscy kupcy, przemysłowcy i rzemieślnicy w celach ekonomicznych i towarzyskich.

Część tych towarzystw utworzyła w roku 1873 „Związek,“ który wziął sobie za cel:

1. wspieranie towarzystw przemysłowych i pracę około podniesienia przemysłu i rzemiosła,
2) wspieranie uczącej się młodzieży rzemieślniczej,
3) wydawanie pism fachowych,
4) zakładanie biur informacyjnych i gospód rzemieślniczych,
5) urządzanie wystaw,
6) zakładanie nowych towarzystw.

Siedliskiem związku jest miasto Poznań, a prezesem adwokat Czypicki z Koźmina.

W roku 1899 należały do związku 24 towarzystwa, chociaż już w roku 1895 było w Poznańskiem, nie licząc Górnego Ślązka i Prus zachodnich, towarzystw przemysłowych 62, mających ogółem 4,342 członków.

W towarzystwach związkowych zarząd usiłuje wzbudzić szersze zainteresowanie się sprawami ekonomicznemi, podając do dyskusyi tematy następujące:

1) Jakie przedewszystkiem cele winny sobie wytknąć towarzystwa przemysłowe?
2) Jakie gałęzie przemysłu są u nas słabo jeszcze rozwinięte?

W drugiej z powyższych kwestyi zarząd sam przyszedł do przekonania, że polecić trzeba zawody 1) geometrów, 2) tłomaczy sądowych, 3) majstrów murarskich i ciesielskich, 4) majstrów kierujących (werkmajstrów), którzyby ukończyli szkołę techniczną (np. w Mittweidzie), 5) garbarzy z ukończeniem szkoły w Offenbach, 6) pracowników w dziedzinie cegielnictwa i 7) handlu bławatnego i 8) handlu zbożem.

Od niedawnego czasu wychodzi także w Poznaniu pismo, poświęcone specyalnie sprawom przemysłu pod tytułem „Przemysłowiec.“

Oprócz wspomnianych towarzystw przemysłowych istnieje również kilkanaście stowarzyszeń kupieckich, zajmujących się specyalnie sprawami, dotyczącemi stanu kupieckiego. W ostatnim czasie rzuciło towarzystwo inowrocławskie myśl założenia związku tych stowarzyszeń. Projekt ten, na zwołanem ad hoc zebraniu delegatów towarzystw kupieckich w Inowrocławiu w październiku r. z. przyszedł do skutku.

Jedynym stanem, którym aż do ostatnich czasów wcale się nie zajmowano, jest stan robotniczy. Stan ten, wobec słabego w naszych dzielnicach rozwoju przemysłu, nie mógł się jeszcze zresztą liczebnie bardzo rozwinąć. Oczywiście nie mówię tu o Górnym Śląsku, gdzie wskutek potężnego rozrostu przemysłu górniczego i hutniczego, ludność polska przeważnie się składa z robotników. Tak samo rzecz się ma na wychodztwie: w Westfalii, Nadrenii i Berlinie.

W Poznańskiem natomiast i w Prusach zachodnich większa część ludności miejskiej stanowią drobni rzemieślnicy. Ilość robotników przemysłowych zaś w stosunku do całej ludności jest niewielka. Ta okoliczność, oraz fakt, że w dzielnicach naszych nie tyle stoją w przeciwieństwie praca i kapitał, jak narodowość z narodowością, dalej głębokie przywiązanie naszego ludu do wiary i języka, sprawiają, że socyalizm nie zdołał zapuścić u nas korzeni.

Prawie do ostatnich czasów, oprócz anemicznych chrześciańskich związków, nie było u nas żadnych innych związków robotniczych, w którychby robotnik polski mógł znaleźć skuteczną obronę swych interesów.

Dopiero, mniej więcej przed 2 laty wyszła z grona samych robotników myśl utworzenia odrębnego związku robotniczego polskiego, myśl, która

pomimo znacznej opozycyi, przyjęła się i niebawem zamieniła w czyn. Istnieje zatem od lat prawie dwóch związek, który przyjął nazwę „Polskiego związku zawodowego w Poznaniu“. Związek ten ma na celu przedewszystkiem staranie się o możliwie korzystne dla stanu robotniczego warunki pracy i płacy, a liczy około 1,000 członków. Związek ten, jak wszystkie inne podobne, zorganizowany jest na wzór angielskich trade-unionów i zadanie swoje spełnia bezpośrednio przez to, że udziela członkom swoim, podobnie jak i inne, obrony prawnej i wsparć podróżnych, pośmiertnych, strejkowych oraz na czas braku pracy. Składki tygodniowej płaci każdy członek 20 fenigów. Rozwój Związku utrudnionym jest przez to, że większość robotników polskich mało jest obeznaną ze sprawami związkowemi, skutkiem czego organizowanie odbywa się daleko powolniej i z większym nakładem pracy, aniżeli w innych podobnych organizacyach. Związkowcy ufają jednak, że trudności, na jakie narażony jest obecnie Związek polski, w przeciągu lat kilku będzie można zupełnie usunąć.

Od kwietnia r. b. wydaje Związek polski własny swój organ pod nazwą „Siła.“

„Polski związek zawodowy“ nie jest zresztą pierwszym w swoim rodzaju. Bowiem już od całego szeregu lat istnieje w samym Poznaniu polska organizacya drukarzy, obejmująca tylko jeden zawód drukarski. Jeszcze starszym jest związek robotniczy polski na Górnym Śląsku, t. zw. „Związek bytomski“ który osiągnął już był pokaźną liczbę 14,000 członków. Ostatni jednak nie rozwija się tak, jakby sobie tego życzyć należało, ponieważ obrał sobie zbyt szczupły zakres działania, t. j. zaprowadził tylko kasę wsparć pośmiertnych. To też, gdyby związek ten nie rozszerzył ram swej działalności, grozićby mu musiało poważne niebezpieczeństwo. W roku ubiegłym robotnicy polscy w Westfalii, zniechęciwszy się do związków centralnych i chrześciańskich, założyli sobie własną organizacyę robotniczą. Bliższych szczegółów o stanie i rozwoju tej organizacyi jednak w chwili obecnej podać nie mogę.

Dodać wreszcie winienem, iż w skład wszystkich powyższych organizacyi wchodzą wyłącznie robotnicy miejscy, gdyż robotnikom rolnym w Prusiech nie wolno tworzyć własnych związków zawodowych, a przystępować do istniejących.

Dr. C. Rydlewski.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wojna.

„Sławo — czczy dymie!“ — zawołać dziś może z poetą były komendant Portu Artura, generał *Stoessel.*

Sława jego rosła w miarę, jak ponad wszelkie oczekiwania i przewidywania przeciągało się oblężenie, jak raz po razie szturmujące kolumny japońskie odpierane zostały z strasznemi stratami od wałów powierzonej jego obronie twierdzy. Rosła ona i wowczas jeszcze, gdy siła odporna Portu Artura widocznie zaczęła słabnąć, gdy jeden fort po drugim przechodził w ręce wytrwałych aż do zaciekłości Japończyków. Stawało się jasnem, że upaść on musi, mimo to sławiono wodza, który z małemi jak mniemano ogólnie siłami — tak długo się opiera i broni. Wierzono nawet, że spełni daną na początku oblężenia zapowiedź, iż nigdy nie wyda rozkazu do poddania twierdzy, że *„bronić się będzie do ostatniej kropli“* krwi. I nagła kapitulacya nie zachwiała tą dobrą o nim opinią. Wszelkie o niej doniesienia głosiły przecież, że gen. Stoessel już dłużej utrzymać się nie mógł, że wyczerpał całą amunicyę i żywność, że pozostało mu do walki już tylko 3000 żołnierzy, wynędzniałych, chorych, podobnych raczej do cieni — niż do żywych ludzi. Więc i wówczas nie było niemal gazety, któraby nie wystawiała mu świadectwa prawdziwego *bohatera.* Winszowano takiego wodza Rosyi i oburzano się na nią, że lepiej nie opatrzyła go w środki obronne.

Tymczasem już na trzeci dzień po kapitulacyi sława ta silnego doznała wstrząśnienia. Dotkliwy cios zadał jej zwycięzca, generał *Nogi,* a zadał go krótkim tylko, lecz pełnym cyfr raportem do swego rządu. Z raportu tego dowiedziano się bowiem zgoła niespodziewanych rzeczy. Dowiedziano się nasamprzód, że załoga twierdzy liczyła nie 25,000, jak głoszono, lecz przeszło 50,000, że była to wielka i groźna armia; dowiedziano się dalej, że w dniu kapitulacyi było jeszcze zdolnych ludzi do walki nie 3000, lecz przeszło 20,000 żołnierzy tak silnych, iż o własnej mocy odbyć mogli marsz do znacznie oddalonych a wyznaczonych im przez Japończyków tymczasowych garnizonów. Dowiedziano się wreszcie, że znacznej tej sile brakło wprawdzie pocisków do dział wielkich, lecz że miała jeszcze pod dostatkiem nabojów do dział małych i karabinów, a dalej, że w twierdzy było jeszcze *mąki* na dwa miesiące i 2000 żywych koni, których mięsem i ta masa ludzi przez kilka tygodni żywić się mogła.

Suchy ten raport wywołał w pierwszej chwili zdumienie, a potem — uwielbienie dla Stoessla zamienił na surową krytykę jego postępowania.

Krytyka ta przyznawała wprawdzie, że położenie załogi było straszne. W szpitalach leżało 15 do 16,000 rannych i chorych, dla których brakło lekarstw i środków opatrunkowych, a których męki i jęki wstrząsały nawet najtwardszemi sercami; faktem było dalej, że na ogień wielkich dział japońskich zasypujących twierdzę gradem pocisków, nie można już było odpowiadać. Te momenta i wynikające z nich względy natury psychologicznej uwzględniano, mimo to krytycy w lot oświadczyli: Konieczności *nieubłaganej do kapitulacyi nie było jeszcze,* załoga mogła się bronić jeszcze *tygodniami,* mogła jeszcze straszne straty zadać nieprzyjacielowi i drogo zaprzedać mu gruzy twierdzy i swoje życie. Poddanie twierdzy było więc przedwczesne i w rażącem stało przeciwieństwie, do zapowiedzi Stoessla, że będzie się bronił do *upadłego.* Nie można mu odmówić dzielności — konkludowano dalej — ze względów ludzkości cieszyć się nawet trzeba, że poddał twierdzę i zapobiegł dalszej strasznej o nią walce—ale do miana *bohatera* pretensyi rościć on sobie nie może. Bohaterem nie jest!

I opinia to słuszna. Jak każdy wódz, który przez kapitulacyę poddaje twierdzę, i generał *Stoessel* stanie po powrocie do kraju *przed sądem wojennym.* Nie ulega wątpliwości że sąd ten go uwolni, lecz w takim razie stwierdzić musi, *na kim* ciąży wina, że Rosya straciła tę twierdzę, że *straciła wielką armię,* że zgotowała tu sobie prawdziwy drugi — *Sedan.*

Warunki kapitulacyi.

I teraz dopiero wyjaśniło się, dla czego Japonia przyznała załodze mniej korzystne i zaszczytne warunki, niż w pierwszej chwili głoszono. Warunki to następujące: Cała załoga pójdzie w *niewolę do Japonii,* tylko ci oficerowie, którzy dadzą słowo honoru, że w tej wojnie już nie będą brali udziału, uzyskają wolność i prawo powrotu do Rosyi. Korzystniejsze warunki, np. wolny wymarsz z twierdzy można było przyznać „kilku tysiącom cieni ludzkich,“ ale nigdy nie załodze która jeszcze w chwili kapitulacyi składała się z *24,000* ludzi zdrowych. W liczbie tej było blisko *900 oficerów!* I to znów złe sprawiło wrażenie, że *pierwszy* żądane przez Japończyków słowo dał generał Stoessel, że za jego przykładem poszło aż 500 innych oficerów. Tylko mniejsza część wybrała niewolę, niż takie *dobrowolne* zobowiązanie się do bezczynności wobec wroga.

Zdobycz Japończyków.

Zwycięzcy Japończycy zyskali więc przez kapitulacyę nietylko *silną twierdzę,* o którą tak bardzo im chodziło, lecz także to, że znikła z widowni cała armia rosyjska. Wśród jeńców było 8 generałów, 4 admirałów, 50 pułkowników i podpułkowników i 800 kapitanów, poruczników i lekarzy wojskowych. Razem z 15,000 chorych i rannych dostało się do niewoli około 40,000 Rosyan. W ręce Japończyków wpadło nadto 400 dział rozmaitego kalibru, 80,000 ton węgla, 2000 koni, i zapasy mąki na dwa miesiące, nie licząc karabinów i innej broni. Zaraz też zwycięzcy zabrali się do odbudowania fortów i wkrótce zapewne zamienią Port Artura na twierdzę silniejszą, niż była dotychczas. Zapewniają oni już dzisiaj, że nigdy jej nie oddadzą, chociażby nawet dalsza

wojna niepomyślny dla nich wzięła obrót.

W świetle tych cyfr upadek Portu Artura przedstawia się jako wprost *ogromna klęska dla Rosyi.*

Lector.

Tydzień polityczny.

Ponad wszelkiemi sprawami politycznemi górowała w ubiegłym tygodniu także w Europie *sprawa* upadku *Portu Artura.* Piszemy wyraźnie *sprawa* — zanosiło się bowiem na to, że ten wypadek czy epizod wojenny w konsekwencyach swoich rzeczywiście na „sprawę“ się zamieni.

Konsekwencye te mogły być a nawet mogą być jeszcze najrozmaitsze. Jedna z nich, przewidywana przez wielu, i to najważniejsza, już wprawdzie zawiodła. Przypuszczano oto z wielu stron, że upadek Portu Artura stanie się punktem wyjścia dla *akcyi pokojowej,* a zwłaszcza do *pośrednictwa* ze strony innych mocarstw. Zaraz też znalazły się państwa, które gotowe były stronom wojującym ofiarować swoje usługi w tym kierunku. Nie ulegało już wątpliwości, że Japonia nie będzie teraz przeciwna zawarciu pokoju, osiągnęła przecież wszystko, o co rozpoczęła wojnę. I gdyby tylko od niej zależało, rokowania pokojowe byłyby dziś w pełnym toku. Niestety, wszystko znów rozbiło się o opór Rosyi, o opór rządu rosyjskiego, który, łudząc się zawsze jeszcze, że ostatecznie pokona groźnego nieprzyjaciela, stale odrzuca wszelkie propozycye pokojowe.

Przypuszczano dalej, że następstwem upadku Portu Artura będzie także nowy wzrost ruchu konstytucyjno-rewolucyjnego w Rosyi, że rozgoryczenie i wzburzenie opinii publicznej w caracie przybierze formę *otwartej rewolucyi.* I to przypuszczenie dotychczas się nie spełniło, z czego jednakże bynajmniej nie wynika, że się nie spełni wogóle. Przeciwnie, z możliwością taką zawsze jeszcze poważnie trzeba się liczyć. Obecny ruch „przewrotowy“ w Rosyi, to już nie poryw szczupłych, hołdujących skrajnym poglądom kół, to walka o wolność *całego* narodu pod wodzą najwybitniejszych i najlepszych jego mężów. Wyjaśnił to carowi Mikołajowi w tych dniach prezes ziemstwa moskiewskiego, książę *Trubecki.* Powiedział on monarsze swemu otwarcie, że to, co się obecnie dzieje w Rosyi, *jest już — rewolucyą.* Wymownym zaś komentarzem do tej przestrogi cieszącego się ogólnym szacunkiem arystokraty były pełne goryczy i oburzenia głosy prasy rosyjskiej o upadku Portu Artura. I jeźli stroże carskiego absolutyzmu posiadają chociaż odrobinę zmysłu politycznego, jeźli umieją jeszcze należycie oceniać takie objawy i jasno patrzeć w przyszłość, muszą powiedzieć sobie, że ostatnia godzina tego absolutyzmu jest już bliską, że jeźli nie ustąpi dobrowolnie, obalony będzie — *siłą,* siłą rozrywającej swoje pęta woli narodu.

Trzecią kwestyą, łączącą się z kapitulacyą portarturskiej twierdzy jest, jak wieść o niej oddziałała na *targi pieniężne,* na których właśnie teraz Rosya zaciągnąć zamierza nową *pożyczkę wojenną,* w kwocie pięciuset milionów rubli. Wchodzą tu w grę głównie targi pieniężne w *Niemczech, Francyi i Holandyi.* Tę kwestyę wyjaśni nam dopiero tydzień bieżący. Jeźli zaufanie publiczności nie dopisze, jeźli wynik subskrypcyi będzie ujemny, szanse Rosyi w tej wojnie zmaleją do zera — bez pieniędzy bowiem dziś wojny prowadzić nie można.

Oto przyczyny i okoliczności, nadające kapitulacyi Portu Artura charakter ważnej sprawy politycznej.

Zresztą, po za tem nie wiele się zmieniło, nie wiele nowego zaszło w ubiegłym tygodniu w świecie politycznym.

W *Niemczech i Prusach* zebrały się na nowo ciała prawodawcze, *parlament i sejm pruski.* Sejm znajdzie na swoim stole gotowy wreszcie *preliminarz etatowy* na rok przyszły. I my dowiemy się wówczas, ile z podatków i dochodów Prus rzuci się znów na zwalczanie *ludności polskiej i „polskiego niebezpieczeństwa.“* Tok rozpraw etatowych zamąci może nowa *walka ekonomiczna.* W zagłębiu węglowem nad rzeką *Ruhr,* zanosi się bowiem na *wielki ogólny strejk górników.* Skarzą się oni na liczne krzywdy, na lichą płacę i złe obchodzenie się z nimi i radzą już otwarcie nad tem, czy ogólnym strejkiem nie możnaby zmusić pracodawców do ustępstw, których dobrowolnie dać nie chcą. Strejk ten miałby i dla nas większe znaczenie, objął by bowiem także tysiące naszych, *polskich górników,* pracujących w tych stronach.

Z *Afryki* południowo-zachodniej nadeszły wieści o kilku nowych zwycięskich potyczkach wojsk niemieckich z *Herrerami i Witbojami.* Mimo to rychłego końca tej kosztownej wojenki spodziewać się jeszcze nie można.

Gabinet p. *Combesa* we Francyi znów poniósł porażkę, która dużo zgotować mu może kłopotu. W okręgu, który w Izbie deputowanych zastępował dotychczas zmarły w tajemniczy sposób *Syveton,* wybrany został znowu przeciwnik rządu, pozasłużbowy admirał *Bien Aime.* Rozpocznie on zapewne swój zawód poselski gwałtownemi atakami na nielubianego ogólnie „cywilnego ministra marynarki“ *Pelletana.* W kołach nacyonalistycznych przepowiadają już z całą pewnością, że jak Syveton obalił Andreego, Bien Aime pokona Pelletona, w inny wprawdzie sposób, lecz z takim samym skutkiem.

Na *Węgrzech* stało się wreszcie, czego się spodziewano już od tygodni: rząd *rozwiązał Sejm* i rozpisał nowe wybory. Walka między rządem a opozycyą przeniosła się teraz w szerokie masy, a jej wynik zadecyduje nietylko o losie gabinetu Tiszy, lecz także o tem, czy Węgry nadal jeszcze pozostaną w związku dzisiejszym z *Austryą,* czy też rychło zaprezentują się Europie jako nowe państwo zupełnie samodzielne?

Niepokojące wieści nadchodzą znów z *półwyspu bałkańskiego.* Zdaje się, że „akcya reformowa mocarstw“ w *Macedonii zupełnie zawiodła.* Krążą pogłoski, że komitety rewolucyjne w tym kraju znów rozwijają gorączkową czynność, i że na wiosnę nowa tam wybuchnie *ruchawka rewolucyjna.*

Rok 1905 pod złą wróżbą się zaczął — a pod gorszą jeszcze skończyć się może.

M. O.

Przegląd prasy.

Upadek *Portu Artura* zrobił zarówno w Rosyi jak gdzieindziej potężne wrażenie.

„Jak piorun spadła wiadomość o kapitulacyi Portu Artura — pisze petersburski korespondent *„Berl. Tageblattu“* — a poprzednio już obiegała w formie niejasnej pogłoski na giełdzie, spowodowując spadek papierów. W kołach wojskowych pocieszają się wymówką, że Port Artura spełnił swe zadanie świetnie. Pomiędzy publicznością wrażenie nie było widocznem, bo wiadomość ta *nie wszędzie znajduje wiarę* a ludzie zbyt są zajęci przygotowaniem do świąt.“

Do tego dorzuca *„Berl. Tag.“:*

„W kołach nieurzędniczej inteligencyi wywołała wiadomość ta *głęboki*e rozgoryczenie przeciwko rządowi i sferom wojskowym. Tu i owdzie sądzą, że — jak nam telegrafują z Petersburga — nastąpią *ogromne rozruchy* wskutek czego władze zwiększają siłę obronną. Nadto obiega pogłoska, że

wszystkie ziemstwa rosyjskie zamierzają *ostentacyjnie* zawiesić swą działalność.“

Korespondent warszawski *„Dzien. Pozn.“* pisze:

„Opinia publiczna jest wzburzoną, a wieści tak z Petersburga jak z Moskwy są w wysokim stopniu niepokojące. Naprężenie umysłów jest wysokie, tak, że zachodzą obawy, by rozjątrzenie przy lada sposobności *nie przybrało rozmiarów przechodzących formy zwyklej demonstracyi.*

Kapitulacya Port-Artura zwiększyła to rozgoryczenie w sposób jeszcze groźniejszy, do czego też przyczyniły się silnie ciągłe od jedenastu miesięcy zapewnienia urzędowe o: „niewziętości twierdzy Port-Arthura.“

„Takim jest obecnie stan opinii publicznej w Rosyi — pisze dalej tenże korespondent. — Wszelkie wieści i pogłoski dotyczące dalszych zamiarów rządu itd., są niepewne i na przypuszczeniach oparte. Do takich należy np. dymisya ks. Mirskiego, rosnący wpływ Wittego, przypuszczalni następcy obecnego ministra spraw wewnętrznych, a zwłaszcza wiadomość, że podanie się do dymisyi nastąpiło: „z powodu zbyt daleko idących reform dla Polaków“ — itd.

„Również wątpliwe są powtarzające się od dawna wieści o dymisyi generała Czertkowa. Pogłoski te przynajmniej dotychczas, nie opierają się na żadnym fakcie. Przeciwnie, generał Czertkow zaczyna także objawiać przekonanie liberalne i głosi otwarcie, że reformy muszą nastąpić.“

Sądu braci naszych z pod innych zaborów o Wielkopolsce i społeczeństwie naszem nigdy lekceważyć nie powinniśmy. Podczas gdy my wiecznie wpatrzeni w jeden i ten sam obraz łatwo tracimy wrażliwość i nie wyczuwamy uderzających cech naszego ogółu, Polacy z za kordonu patrząc na nas z ubocza odkrywają rzeczy dla nas nowe.

Prof. Julian Ochorowicz rozprawiając się w „Gazecie Polskiej“ z p. K. Bartoszewiczem, przestrzega Polaków przed *zbytnią trzeźwością,* która jest niemniej szkodliwą od unoszenia się fantazyą.

„Zmądrzeliśmy (w okresie popowstaniowym) — pisze Ochorowicz — tak radykalnie, że w niektórych dzielnicach, jak w Poznańskiem, bez żadnej specyalnej propagandy staliśmy się *praktycznymi groszorobami,* gdy w poprzednim okresie, według wyrażenia p. Kościelskiego, umieliśmy tylko „tracić majątki i umierać za ojczyznę.“ I gdyby nie szowinizm Niemców, którzy drażnieniem swojem ciągle budzą patryotyzm z uśpienia — kto wie, czem bylibyśmy w Poznańskiem do tej pory“.

Nad tą uwagą radzilibyśmy czytelnikom naszym zastanowić się dobrze.

„Dawniej wołaliśmy, i słusznie — pisze Ochorowicz — ostrożnie z ogniem! a teraz już przychodzi ochota zawołać: ostrożnie z wodą! Ja przynajmniej zaczynam się obawiać, żebyśmy z tej trzeźwości — przepraszam za trywialne wyrażenie — nie zbaranieli. Bo my tymczasem nietylko przestaliśmy igrać z pożarem co się chwali, uważać się za Chrysusa narodów, co było majzgajstwem; nietylko myślimy raczej o wygodzie i ugodzie, niż o donkiszotowskich wyprawach — ale nawet zaczęliśmy popadać w apatyę, w brak godności.“

Cenzura warszawska, mająca swe fantazye, pozwoliła *„Gazecie Polskiej“* rozpisać się o *hakatyzmie* i to ze stanowiska słowiańszczyzny. W artykule: *Niemcy asymilują* wypowiada p. St. Kozłowski zdanie, że ustaw wyjątkowych nie potrzeba się tak bardzo lękać. Aby Polaków zniemczyć trzeba pracować przez Kościół, szkołę i rodzinę, a na tych punktach żywioł polski posiada wiele odporności.

„Niebezpieczną staje się germanizacya w łonie samego katolicyzmu, praktykowana przez niesumiennych proboszczów śląskich, wyzyskujących religię do celów świeckich politycznych. Najświeższe jednak wypadki na Śląsku, wymownie dowodzą, że uświadomiony lud śląski pragnie pozostać nie tylko katolickim, lecz i polskim ludem.“

W sprawie wyborów w *Kozielsko-Głubczyckiem* czytamy w *„Głosie Ślązkim:“*

„Konserwatyści i liberałowie ruszają się na dobre. Kozielski „Wanderer“ pisze, że w tych dniach odbyło się w Głubczycach zebranie wyborców. Na zebraniu tem uchwalono na każdy przypadek głosować przeciwko kandydaturze centrowca Hagera. Każdemu wyborcy pozostawiono swobodę głosowania czy to na landrata Hauenschilda, czy na Sedlaczka, czy też na Richtarskiego Dalej uchwalono jednogłośnie na wypadek wyborów ściślejszych głosować nie na Hagera, tylko na jego kontrkandydata.

„Centrowcy nawarzyli sobie piwa. Dr. Hagera postawili na przekór ludności polskiej, bo sądzili, że tą prowokującą kandydaturą wyprowadzą Polaków z równowagi. Tymczasem ludność polska zachowuje się biernie, ale w samych kołach centrowych podniosło się wielkie oburzenie przeciwko kandydaturze dr. Hagera, a konserwatyści i nacyonał-liberałowie robią wszystko, ażeby kandydaturę tę wywrócić. Tak się mści na centrowcach ich przewrotna polityka, która nam Polakom żadnych praw narodowych przyznać nie chce.“

Kolenda pod dozorem policyi pruskiej! Otóż najnowsze zdarzenie z szeregu dobrodziejstw pruskich.

Z Lipin na G. Ślązku piszą do *„Górnoślązaka:“*

„Związek katolickich robotników w Lipinach jak corocznie tak i latoś zamierzał urządzić w dzień Nowego Roku Kolędę, a przy tej uroczystości także Jasełka dla członków i ich rodzin. Zarząd związku, czyniąc przepisom policyi zadość, doniósł już na dniu 27 listopada policyi o urządzeniu Jasełek i Kolędy.“

Na to otrzymał zarząd policyi odpowiedź, że tylko z zezwoleniem ministra wolno urządzić przedstawienie z bibliii.

Ostatecznie postanowiono urządzić nie przedstawienie lecz cztery żywe obrazy, ale policya znowu wejrzała w tę sprawę i oświadczyła, że obrazy te jako biblijne są zakazane.

„Przewodniczący nie chcąc ponownie w zatarg z policyą wchodzić, gdyż tego dosyć użył przy ostatnim teatrze amatorskim, oświadczył zaraz na policyi, że więc ani żywych obrazów nie będzie i musiał się nawet na to podpisać. Na zapytanie pana wachmistrza Helbinga, co teraz zarząd będzie urządzał, kiedy i Jasełka i żywe obrazy zakazane, odpowiedział przewodniczący, że będzie tylko urządzona kolęda z odśpiewaniem kilku pieśni kolędowych, muzyka związkowa kilka kawałków zagra, potem nastąpi wylosowanie choinki i na ten koniec.

„I jakież było zdziwienie nas wszystkich, kiedy w dzień Nowego Roku, gdy już ks. prob. był przyszedł z błogosławieństwem nowonarodzonego Dzieciątka Bożego, zjawił się nagle na sali policyant, aby dozorować kolędy. A więc w Lipinach w związku katolickich robotników odbyła się kolęda pod dozorem pruskiej policji. Takaż to jest wolność obywatelska w państwie, które się szczyci wyższą kulturą! Czyż naprawdę tak daleko sięga władza pruskiej policji, że *nawet kapłana dozoruje, gdy z swymi parafianami przy choince śpiewa kolędy kościelne!* Czyby może pan minister dał takie rozporządzenie policji? Zarząd wyśle w każdym razie zażalenie do prezesa rejencyi.“

W szykanach policyjnych rząd pruski o wiele prześcignął swych sąsiadów z za kordonu!

Redakcya.

Głosy od Przyjaciół.

Opole, 12. 12. 04.

(Sprawa Sokoła.)

W numerze 49 „Pracy“ r. b. znajduje się artykuł z Opola, zaczepiający, jak nie trudno się domyślić, moją osobę, najprzód z powodu, że nie założyłem tu towarzystwa „Sokołów“. Otóż rzecz ma się tak: W Opolu nie mamy, z wyjątkiem kilku Polaków, żadnej inteligencyi polskiej. Brak jest zupełny prawie stanu rzemieślniczego pols-

kiego, a kupców jest zaledwie kilku, z których według moich osobistych informacyi żaden nie rokuje „Sokołowi“ żywotnego bytu z tej prostej przyczyny, że członkowie takiego towarzystwa musieliby się rekrutować z ludności *zamiejscowej,* wiejskiej, która po pracy fizycznej od świtu do nocy nie będzie chciała gimnastykować w sali „Sokołów“. Gdyby to jeszcze taka sala była do dyspozycyi, ale takowej tu nie ma i nigdzie się nie dostanie. O tem każdy z poważniejszych obywateli dłużej tu przebywających i mających stosunki, bardzo dobrze wie i każdy też podziela moje zdanie, iż przynajmniej na obecną chwilę projekt założenia „Sokoła“ nie da się z powodzeniem w czyn zamienić. Twierdzenie, jakoby tysiące ludzi czekało na założenie „Sokoła“ jest najpospolitszą blagą, którą tylko wtenczas zrozumieć można, gdy się pozna poglądy i zapatrywania młodzieńca, który jedynie w idei sokolskiej widzi zbawienie, podczas gdy u nas, wśród nieodpowiedniego materyału i na glebie skrajnie kresowej najlepsze zamiary w tym kierunku spełznąć muszą na niczem z powodu warunków niesprzyjających.

Zaznaczam jednak wyraźnie, że mimo takie moje zapatrywanie, które podziela ze mną szczupłe grono tutejszych miarodajnych obywateli, a także, nawiasem mówiąc, p. Karol Rzepecki z Poznania, z którym jako z jednym z przywódzców sokolskich rzecz tę dokładnie omawialiśmy, — pomimo to oświadczyłem owemu młodzieńcowi Sokołowi, iż jeżeli znajdzie ludzi na członków i salę, poprę go w „Gazecie Opolskiej,“ a nawet podam wskazówki, jak należy załatwić formalności z policyą, zapiszę się też na członka „Sokoła,“ tylko nie przyjmę urzędu przewodniczącego, ponieważ nie mogę, pomijając inne przeszkody wiążące się z mojemi zajęciami i obowiązkami, brać na swoją odpowiedzialność przedsięwzięcia, które według mojego przekonania nie może mieć takiego powodzenia, iżby zapowiadało pomyślny rozwój odpowiadający podjętym zapobiegom.

Jeżeli więc ów młodzieniec, pomimo że go zapewniłem, iż mu nie będę przeszkadzał, lecz, o ile się da, pomagał, jednak „Sokoła“ nie zakłada, a za to na mnie w „Pracy“ naciera, to widać ztąd, że mnie chce zmusić do wzięcia na swoją odpowiedzialność dzieła, którego w czyn wprowadzić sam nie ma odwagi. Tak źle przecież jeszcze z redaktorami (choć społeczeństwo nieraz możliwe i niemożliwe do nich ma pretensye) nie jest, aby musieli ulegać naciskowi niedoświadczonej jednostki z pominięciem własnego i poważniejszych ludzi zdania.

Aby ulżyć swoim do mnie nieusadnionym przywidzeniom, robi korespondent mnie jak i innym obywatelom tutejszym zarzut, jakobyśmy „zapełniali loże teatru niemieckiego,“ a nadto jakobym ja popierał pewnego proboszcza w zakładaniu jakiegoś „verbandu“ w parafii.

Zaznaczam, że stałego teatru niemieckiego tu wogóle nie ma; jest tylko sala w ratuszu, na której od czasu do czasu jakaś przyjezdna trupa daje przedstawienia (ale żadnej takiej trupy obecnie w Opolu nie ma). W tym roku wogóle na *żadnem podobnem przedstawieniu nie byłem,* w przeszłym roku zaś byłem wszystkiego trzy razy w rozmaitych odstępach i to o tyle o ile ze stanowiska mojego zawodu jako redaktor chciałem się przekonać, ile w zalecanych ludowi sztukach znajduje się tendenecyi germanizatorskich, mianowicie że miasto przeznaczyło na takie sztuki ludowe osobną subwencyę. Jak dotąd przekonałem się, że trupa angażowana do Opola nie objawiła hakatystycznych tendencyi, jakiemi się odznacza teatr germanizatorski w przemysłowym obwodzie Górnego Śląska, który nawiasem mówiąc tamtejsi redaktorzy polscy, jak mi to sami oświadczyli, a nawet posłowie również kontrolują. Nie miałem tedy dotąd powodu do zajmowania się ze stanowiska krytyki tutejszym teatrem niemieckim. Zastrzegam sobie jednak prawo i na przyszłość zajmowania pod tym względem stanowiska, jakie uznam za słuszne i w danych warunkach pożądane.

Co do innych Polaków tutejszych, dodać mogę, że takowi zupełnie poprawnie się zachowują, pomimo braku towarzyskich stosunków, pomimo że zniemczone miasto kresowe nader skąpe jest w odpowiednie dla nich rozrywki, trzymają się wszyscy zupełnie zdala od zgiełku niemieckiego, od koncertów, wyjątkowych nawet przedstawień muzycznych i t. p., a jeżeli przypadkiem się zdarzy, iż ten lub ów uda się na przedstawienie sztuki, którego z klasyków niemieckich, jak Schillera, Goethego i t. d., to zapewne mogą być jeszcze zdania podzielone, czy to rzeczywiście, szczególnie u nas, gdzie nie ma teatru polskiego, ani innej dla inteligentniejszych osób rozrywki, jest taką zbrodnią, zasługującą na odsądzanie od patryotyzmu, zwłaszcza gdy się wie, że to gronko Polaków zawsze stoji na czele wszelkich urządzeń patryotycznych dla oświaty i rozrywki ludu (np. przy urządzaniu teatrów amatorskich, gwiazdki dla dzieci i t. p.)

Z powyższego wynika więc, iż o zapełnieniu lóż teatru niemieckiego pod żadnym warunkiem mowy nie ma. Korespondent mija się tu z prawdą, a jeszcze więcej pod tym względem uchybia, zarzucając mi, jakobym pewnego proboszcza popierał w zakładaniu „verbandu.“ Dowiaduję się z zupełnie wiarogodnego źródła, że korespondent zaczepia tu ks. proboszcza Jankowskiego z Kotorza, który w swojej parafii dla nader licznych wychodźców chciał założyć towarzystwo i zastanawiał się nad tem, z jakim większym związkiem najpraktyczniej byłoby takie towarzystwo złączyć, aby wychodźcom zapewnić materyalną i moralną podporę na obczyźnie. Towarzystwo owo nie zostało założone, ale cokolwiekbądź ów proboszcz zamierzał, czynił to w najczystszej intencyi służenia ludowi polskiemu, gdyż ks. Jankowski jestto bez przesady kapłan Polak, jakich ze świecą szukać, a jeżeli parafianin jego, również Polak, pozwolił sobie na niego publicznie rzucić podejrzenie o brak patryotyzmu, to wyrządził mu krzywdę, jakiej żaden prawy Polak, znający dobrze tego kapłana, nigdy by sobie nie pozwolił.

Na koniec zaznaczam, że ja żadnego proboszcza w zakładaniu jakiegokolwiek towarzystwa nie popierałem a o tem, że tym proboszczem miał być ks. Jankowski dopiero po przeczytaniu korespondencyi w „Pracy“ się dowiedziałem.

Proszę zatem, aby korespondent na przyszłość ściślej prawdy się trzymał, abym nie był zmuszonym do sprostowań, jakie uważam za konieczne — wprawdzie nie dla niego, bo mi na jego zdaniu bardzo mało zależy, ale dla czytelników „Pracy“.

Prosząc Szanowną Redakcyą o łaskawe uwzględnienie powyższego pisma, pozostaję z prawdziwem poważaniem *Br. Koraszewski.*

Opole, 20. 12. 1904.

Dział rolniczo-ekonomiczny.

Sprawozdanie z walnego zebrania poznańskiej Izby Rzemieślniczej.

Na walnem zebraniu Izby Rzemieślniczej po odczytanym referacie sekretarza z czynności całorocznej Izby obradowano w dalszym ciągu nad ważną sprawą dotyczącą urządzenia wystaw uczniowskich w okręgu Izby. Do obrad przypuszczono także członków wydziału czeladniczego, z których następujący panowie brali udział: Owsiński Władysław, czeladnik piekarski z Poznania, Weinkauf Franciszek, polier z Poznania, Skrzypiński Franciszek, czeladnik stolarski z Poznania, Tschigor Paweł, polier ze Wschowy, Schulz Albert, kierownik ślusarni w Poznaniu, Rath Ludwik, czeladnik kotlarski ze Wschowy, Kęciński Maksymilian, czeladnik garncarski z Poznania, Jankiewicz Nikodem, czeladnik stolarski ze Środy; nieobecność swoją uniewinnili: czeladnik rzeźnicki Franke Karol ze Zbąszynia, nie uniewinnili: Glabisch Oskar, czeladnik młynarski z Ponieca.

Przewodniczący przeczytał sprawozdanie z czynności i zaznaczył, że wystawa w Poznaniu powiodła się zupełnie i że takie wystawy bynajmniej nie chybiają celu, gdyż przyczyniają się w wysokiej mierze do wykształcenia młodszego pokolenia rzemieślników. Natomiast nie było można wykonać uchwały zeszłorocznego walnego zebrania, aby takie wystawy urządzać także na prowincyi, ponieważ nie znaleźli się tam ludzie, którzy około urządzenia wystawy chcieliby się zakrzątnąć, ani też wogóle nie okazywano projektowi wielkiego interesu, jednem słowem nie było można znaleść ludzi chętnych sprawie, bez pomocy których wystawa nie mogła przyjść do skutku. Mimo tego niepowodzenia radzi przewodniczący, aby nie odstręczano się od urządzania wystaw na później, gdyż sprawa warta dalszych zachodów.

Po odczytaniu sprawozdania wszczęła się ożywiona dyskusya, w której zabierało głos kilku członków Izby Rzemieślniczej; wynikiem dyskusyi była uchwała, aby wystawę w roku bieżącym urządzić w Obornikach i Międzyrzeczu, gdyby w tej ostatniej miejscowości wystawa dla przyczyn nieprzewidzianych nie mogła przyjść do skutku należy wybrać Skwierzynę.

Po załatwieniu się z sprawą wystaw przystąpiono do dalszego punktu obrad, którym była projektowana przez p. Merzbacha uchwała opiewająca jak następuje: W celu ujednostajnienia spraw dotyczących uczniów w zawodzie drukarskim ma zebranie uchwalić aby przepisy wydane przez Izbę Rzemieślniczą określające największą liczbę uczniów uzupełnić postanowieniami miarodawczemi dla cechów. Zarząd otrzymuje polecenie, aby porozumiał się z zarządami Izb Rzemieślniczych, które graniczą z obwodem Izby Rzemieślniczej poznańskiej—o ile to jeszcze nie nastąpiło—i wydał przepisy ścisłe ustanawiające, jaka najwyższa może być ilość uczniów w danych zawodach odpowiednio do postanowień powziętych przez Izbę Rzemieślniczą poznańską. Dalej uprasza się odnośne Izby Rzemieślnicze, ażeby pilnowały tego, czy przepisy ich są stósowane, ażeby rzemieślnicy naszego obwodu nie byli poszkodowani przez wyzyskiwanie pracy uczniowskiej ze strony mistrzów obwodów sąsiednich.

W dalszym ciągu nastąpiły wybory członków do stałych wydziałów, przyczem wybrano do wydziału dla spraw uczniowskich: Müllera Gustawa, przewodniczącym, Menzla Otona zastępcą, Spetzlera Oskara, Hartmanna Gustawa, Merzbacha Brunona, Bulsta Rudolfa, Kempego Rudolfa.

Do wydziału rewizyjnego wybrano pp. Zumkowskiego, Merzbacha, Höhnego, Krenza, Hartmanna, Blumenstenglera i Jachowskiego.

Do tegoż wydziału wybrano z grona czeladników: pp. Weinkaufa, Krusego, Schulza, Stephana, Owsińskiego Cichowicza.

Do wydziału rachunkowego: pp. Krenza, Menzla, Höhnego.

Do wydziału dla spraw spółkowych: pp. Müllera, Andrzejewskiego, Krenza, Merzbacha, Bulsta, Gruhla.

Do wydziału dla prasy: pp. Merzbacha, Wolkowitza i Bischoffa.

Jak widzimy z nazwisk przedstawicielami rzemiosła naszego w obwodzie przeważnie polskim są niemal wyłącznie rzemieślnicy pochodzenia niemieckiego.

Następnie stawił wniosek mistrz rzeźnicki p. Hoering ze Skwierzyny, ażeby zebranie oświadczyło, iż Poznańska Izba Rzemieślnicza oświadcza się zupełnie za zaprowadzeniem wykazania się uzdolnieniem. Na to odpowiada przewodniczący, że sprawa ta stała już na porządku dziennym obrad delegatów izb rzemieślniczych i że już poczyniono odpowiednie kroki u rządu, aby odnośne wydał ustawy i że zarząd poznańskiej Izby rzemieślniczej był zawsze za tem, aby przepis ten istniał i od tego żądania nie odstąpi. Atoli prosi, ażeby Izba Rzemieślnicza nie godziła się na postawiony wniosek, gdyż idzie on zadaleko i jest zbyt ogólny. Po tem przemówieniu wniosek z porządku obrad usunięto.

Po załatwieniu się z powyższemi sprawami zaprosił radzca regencyjny p. Spetzler z Poznania obecnych, aby odwiedzili kurs dla siodlarzy i bibliotekę przemysłową oraz uwiadomił, iż w Poznaniu utworzyło się towarzystwo nauczycieli szkół uzupełniających, które do grona swego przyjmuje mistrzów. Ma to być rzeczą pożądaną dla szkół uzupełniających w Poznaniu, gdyby mistrzowie weszli w stosunek z nauczycielami.

Pan Wolkowitz z Poznania poinformował zebranych o smutnych doświadczeniach, jakie rzekomo uczynił, jako egzaminujący pomocników zegarmistrzowskich; poczem p. Merzbach poruszył sprawę ubezpieczenia urzędników Izby Rzemieślniczej od wypadku. Podziękowaniem przewodniczącemu za umiejętne kierowanie obradami posiedzenie zamknięto.

Taki był w ogólnym zarysie przebieg obrad walnego zebrania członków poznańskiej Izby Rzemieślniczej; z poruszonych na niem spraw widzimy, że wynik praktyczny zebrania mógł być tylko bardzo skromnym, i chociaż od Izb Rzemieślniczych nie można dziś jeszcze spodziewać się wielkich rzeczy, bo są organizacyami młodemi, to jednakowoż trudno spodziewać się, aby w bliższej przyszłości wyniki były większe. Mimo to jest koniecznem, aby nasi rzemieślnicy w sprawach tych żywy brali udział, aby tam nie radzono o nas bez nas.

„Przemysłowiec.“

DZIAŁ KOBIECY.

Kronika mody.

Z dniem 1-go b. m. rozpoczął się karnawał, ten kalendarzowy, bo ten istotny zacznie się dopiero, jak zwykle u nas, za parę tygodni. Karnawał musi się rozigrać, rozbawić, jak zepsute dziecko, któremu powiedziano: teraz czas na figle, a które nie od razu, nie od pierwszej chwili z tego pozwolenia korzysta. Brak mu rozmachu i werwy, która dopiero wyradza się powoli, a dochodzi do zenitu wtedy, kiedy już czas na spoczynek.

Słyszałam od wielu osób, że w tym roku karnawał będzie lichy, że czasy są za ciężkie i t. d. Wyznaję, że mnie to poprostu przeraża! Znając bowiem dobrze poznańskie stosunki, wiem jaką by to było klęską zarówno dla większego, jak i mniejszego naszego przemysłu i handlu. Czy to zabawa prywatna, czy bal publiczny, to zawsze ruch, to zarobek dla wszystkich produkujących związanych ze sobą jednym wielkim łańcuchem. Począwszy od wielkich magazynów bławatnych i konfekcyi, kończąc na fryzyerach, rękawicznikach i utrzymujących powozy, brak karnawału i towarzyszącego mu ożywienia w mieście to ubytek olbrzymi dla firm zamożniejszych, to utrata nieraz całego bytu dla tych drobnych, żyjących z dnia na dzień. Szczęściem, że młodość i ochota do życia, to piękne *joie de vivre*, nie traci nigdy odwiecznych praw swoich. Jak kwiat bez rosy, tak młodość bez zabawy nie może istnieć, więc i Poznań gdzie jest tyle przepięknych kwiatów błyszczących całą wiośnianą krasą, musi się trochę zabawić, zatańczyć, musi trochę poszaleć i dać zarobić tym wszystkim, którzy na to cały rok czekają.

A teraz wracam do „Mody.“

Przedewszystkiem ważna nowina. Szanowne Panie!... *Nous changeons de ligne*, czyli całokształt naszych postaci — rysunek ulega powolnej lecz już widocznej zmianie. Głównie przyczyniły się do tego... rękawy, stając się absolutnie i radykalnie innemi jak były, rzec można, że odwrócono je dołem do góry, bufa przy ręku przeniosła się na ramię, a kształt wązki wydłużony z ramienia do ręki. Rzecz prosta, że już to samo zmienia linię.

Następnie wyrzucenie przednie bluzki lub bolera na bardzo nizko zachodzący pasek, także uległo sporej modyfikacyi, mianowicie, że te wązkie, wydłużające talię z przodu paski zeszły na plan drugi, ustępując miejsca paskom bawetowym.

W tem główna rola powierzoną jest gorsetowi. Gorset i jeszcze raz gorset zastosowany do figury, ale zarazem kształcący figurę — oto cały sekret. Suknia może być tańsza, przybranie jej skromniejsze, ale na gorset nie można żałować kilku marek więcej, bo chcąc żeby był doskonały, musi być droższy z powodu bardzo starannego pracowitego i kroju i wykończenia.

Trzecia zmiana—to powolne, ale już należące do faktów, pojawianie się trenów u sukien strojniejszych. Nie jest to już owa latem jeszcze jedynie noszona szata powłóczysta naokoło; obecnie *le dernier cri* strojnej spódnicy, to długość sięgająca ziemi z przodu i po bokach, a z tyłu wolno puszczony i pięknie układający się tren. Oto trzy najgłówniejsze zmiany, wpływające na całokształt naszego wyglądu.

A głowa! Moda wahała się czas jakiś co do sposobu jej utrefienia, obecnie po różnych próbach i ulepszeniach zapadł wyrok ostateczny—całą zimę i zapewne wiele dłużej nosić będziemy fryzury duże, złożone jakby z trzech niobów okalających czoło, całe uczesanie będzie w różne pukle, karby itd. itd. Francuzki, te wielkie mistrzynie tualetowe, z pomocą psychologów-grzebienia wymyśliły sobie rzecz wspaniałą na ten użytek. Jest nią rodzaj apliki, którą się przytwierdza na gładko zaczesanych swoich włosach, zręcznie ją upinając, co jest bardzo łatwe i jest się w kilka minut prześlicznie uczesaną.

Dodać należy, że ten rodzaj uczesania konserwuje niezmiernie włosy, które odpoczywając po karbach i żelazkach, prędko przychodzą do normy.

Teraz trochę szczegółów na sam początek karnawału, a więc tyczących się zebrań tańcujących prywatnych lub korporacyjnych mniejszych, bo publiczne wielkie bale zostawiamy na później.

Na tego rodzaju zebrania kładzie się zwykle tualetę pół-strojną i rękawy do łokcia. Spódnica do tańca bezwzględnie tylko do ziemi, wszystkie powłóczystości są i będą wykluczone, oprócz naturalnie dla pań starszych lub na wielkie bale, ale chcąc zabawić się, potańczyć zgrabnie i wygodnie, nie można kłaść sukni wlokącej się po posadzce. Materyały przeróżne. Najmodniejszy jednak, jak w tej chwili jest rodzaj jedwabnego lub pół-jedwabnego muślinu, zwanego *chiffon*, we wszystkich kolorach.

Naturalnie sukienka taka musi być bezwzględnie na jedwabnej podwłoczce. *Taffetas*, ten śliczny i praktyczny nie stracił na wzięciu. Etamina zeszła na plan trzeci. *W. W.*

DZIAŁ ILLUSTROWANY.

Karol Brzozowski.

Lirnik.*)

(Z powieści gminnej litewskiej.)

W śród drogi
Śmiertelne dwa wrogi
W szumiącym się borze spotkali;
Skoczyli
Z rumaków, zrzucili
I pancerz i szyszak ze stali,
Natarli na siebie, jak dwa wściekłe lwy —
I sieką mieczami, aż sypią się skry.

I była
Zaciekłość i siła
I zręczność jednaka ich w boju;
Zbroczona
Krwią, pierś ich zdyszana
I czoło krwi pełne i znoju,
I pół dnia szczęk mieczów rozlega się w borze,
A jeden drugiego przełamać nie może.

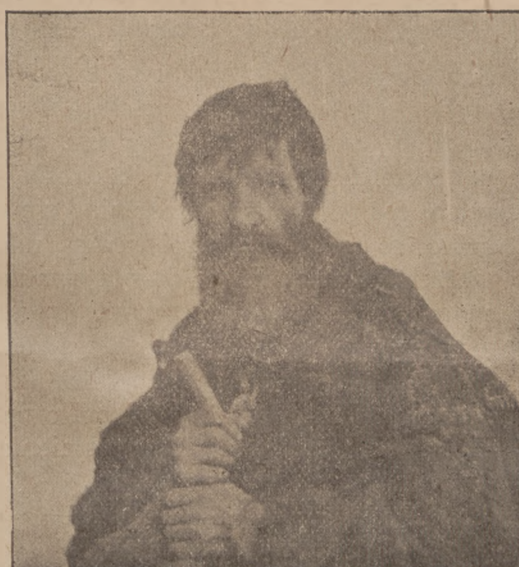
A drogą,
Odziany ubogo,
Szedł lirnik i w struny uderzy,
I dziką
Zawtórzy muzyką
Strasznemu bojowi rycerzy;
Z pod ręki mu dźwięków wytryska kaskada,
A w takt jej burzliwy za ciosem cios spada.

Jak w burzy,
Gdy słońce wynurzy
Z chmur kłębów twarz jasną, wspaniałą,
Z niw, z łąki
Wzlatują skowronki —
Hymn niebios rozlega się chwałą:
Mistrz ilrnik tak burzę akordów uśmierzył
I z liry wspaniały hymn męski uderzył.

I toczy
Z powagą, uroczej
Cudownej harmonii strumienie;
I wpływa
Do duszy, porywa
Za sobą i myśli i tchnienie:
Dwaj wrogi nie czują, jak sama ich ręka
Poważnie w takt hymnu i bije i szczęka.

Wtem jękiem,
Okropnym rozdźwiękiem
Czarodziej hymn święty zamąca,
Do głębi
Rozdziera i ziębi
I na dno przepaści aż strąca;
To zda się z piekielnych otchłani wykrzyka
Rozpaczą, boleścią zgryzota grzesznika.

I schwiały
Się miecze w struchlałej
Szermierzy zaciekłych prawicy;
A dźwięki
Z pod starca znów ręki
Tryskają, jak z żywej krynicy,
I płyną i szumią — to zda się anieli —
Cudowny miłości hymn z nieba zapieli.



Lirnik.
Według fotografii zdjętej w Częstochowie z natury przez ś. p. profesora Maryana Jaroczyńskiego.

Czar dumy
Owładnął drzew szumy,
Zawtórzył tak las harmonijnie;
Wód zdroje
I dźwięczne pszczół roje
I wiatr, co nad lasem tam płynie,
I cały świat życia, jak gdyby zaklęty,
Do pieśni lirnika przelewa się świętej.

Jak lody
W słonecznej pogody
Topnieją gorącym promieniu,
Tak kona,
Topnieje szalona
Zaciekłość i zemsta w tem pieniu.
I wrogie dwa miecze, iskrami przed chwilą
Sypiące, bezwładne ku ziemi się chylą:

Przez lica
Łez długa krynica
Śmiertelnym się wrogom stoczyła;
Spojrzeli
Po sobie, zdumieli;
Tak pieśni owładła ich siła,
Ze miecze skruszyli — i wzajem na piersi
Upadli w uścisku, jak druhy najszczersi.

— Gęślarzu,
Ty cudów mocarzu,
Przez jakichś zesłanyś tu bogów?
Weź konie,
I złoto i bronie,
Żeś w braci przemienił nas, wrogów.
O starcze lirniku! za pieśń twą to mało!
Co tylko zapragniesz, — dziedzinę bierz całą!

— Słuchajcie!
Zapłatę schowajcie, —
Mnie dosyć uścisku jest ręki;
Pan słońca
I światów bez końca
Darował mi z nieba te dźwięki.
Zapłaty nie biorę, bo stokroć przeklęty,
Kto Bogiem frymarczy, sprzedaje dar święty!

Ot z ziemi
Rękami waszemi
Miecz jeden podniosę skruszony;
Anioła
Gdy głos mnie powoła,
Przed bozkie bym stawił się trony,
Pan spyta: jak darów użyłem śpiewaka?
Miecz złaman pokażę i szatę żebraka.

*) Z pięknych „Poezyi“ jubileuszowych wybieramy tę właśnie, a nie inną na wspomnienie pożgonne, bo ona najżywiej przypomni naszym Czytelnikom i natchnioną postać samego Autora-lirnika i jego idealne poglądy na posłannictwo poety-kapłana. Wspomnienie pośmiertne z portretem nieboszczyka zamieściliśmy w nr. 48-ym r. z. na stronie 1922-ej. (Przyp. Red.)

Perła dzikich pól.

(Zofijówka.)

(Ciąg dalszy.)

Przytaczamy tu bardzo ciekawe podanie, opowiadane przez jednego ze stróżów ogrodu; po złożeniu krypty trzeba było usunąć podtrzymujące wewnątrz wiązanie; nikogo znaleźć nie można było dla dokonania tak niebezpiecznej roboty; misa pieniędzy, zebranych w celu zachęty, zwabiła jednak śmiałka; po podrąbaniu ogromnych drągów, huk bratających się w straszliwym uścisku kamieni, przeraża odważnego robotnika, ale otrzymanie sowitej nagrody o strachu zapomnieć każe.

Kilkanaście zaledwie kroków dzieli ten kącik od „deptaku z wazonem;“ lekki mostek żelazny łączy dwa brzegi stawu, który w tem miejscu zwęża się bardzo i ginie w lewo od wejścia na te-

ren koło wazonu, między głazami „doliny Olbrzymów“ — chaotycznem nagromadzeniem olbrzymich kamieni.

Obok doliny Olbrzymów piętrzą się złomy granitu, zczerniałe od czasu, mchem od wilgoci pokryte. Szumiąc zbiega po nich spieniona struga wody. To wspaniała kaskada, jedno z dzieł



Apollo Belwederski.



Wazon granitowy i deptak.

wiekopomnych Metzla, twórcy Zofiówki; podczas wielkich uroczystości lub na prośby przyjezdnych, kaskada bywa puszczana w całej pełni dzikiej siły rozbudzonego żywiołu: kotłuje i pryska, huczy i szumi spieniony i wściekły potok wody, ginąc w toni cichego jeziorka.

U wejścia na mostek stoi Apollo Belwederski.

Mijamy mostek i jesteśmy koło wazonu.

Olbrzymi wazon kamienny, umieszczony na podstawie w owalnej sadzawce, otoczonej dokoła pierścieniem alei żwirowej z półkolem ławek; nad brzegiem stawu granitowe ławeczki i przystań dla łodzi z ciosanego kamienia, służąca zarazem za miejsce dla karmienia łabędzi. Zarząd Zofiówki urządza tu ładny klomb dywanowy, zmieniając co roku na inny rysunek.

Obok posągu Parysa, przypominającego losy pięknej żony Menelaja i historyę Troi, grywa niekiedy orkiestra wojskowa a setki spacerujących przesuwają się wtedy od pawilonu, wzdłuż głównej ulicy uroczego parku. Miejsce koło wazonu, osobliwie w czasie odpustów w kościele humańskim, na Boże Ciało, na św. Antoni, na św. św. Piotra i Pawła i na Przemienienie Pańskie, przedstawia istne mrowisko ludzi i paletę barw, a huczy tam,— jak w ulu.

W ostatnich latach jednak tak liczne zebrania ustały nieco.

Obok sadzawki posągu Parysa zwracają uwagę turysty potężne złomy granitu, tak sztucznie ułożone, że, zda się, lada chwilę zsuną się ze swych podstaw. Chaotyczne to skał nagromadzenie tworzy kilka tajemniczych zagłębień; jedno z nich ozdobione kamienną ławką i owalnym stołem, poświęcone pamięci Łokietka, zapewne dlatego, że wysokość groty jest bardzo nieznaczną, przypomina więc nam i postać dziejową i wzrost nieznaczny króla polskiego.

Te piękne zakątki koło wazonu więcej jeszcze zyskają uroku i powabu, gdy przytoczymy myśl genialnego Metzla, jaką chciał przez to wszystko wyrazić; mostek więc, do wazonu prowadzący, oznacza wstęp do życia; deptak to teraźniejszość z ciągłą troską o jutro, coś w rodzaju kręcenia się w kółko, co dobitnie przedstawia nam pierścień alei zwirowej dokoła owalnej sadzawki; dolina Olbrzymów, ów jar dziki głazami zawalony—to przeszkody na drodze życia; szumiąca obok kaskada przypomina śmiertelnikom o nieustannym wirze naszego istnienia:



Kolumna strzaskana.

spieniony potok znika w nurtach cichego jeziorka, a wir doczesnego żywota ginie pod warstwą ziemi wilgotnej...

Obok mostku—progu do życia, kotłują spienione wody kaskady, jak żarząca się iskra życia stłumiona śmierci powiewem.

Opuszczamy te miejsca urocze, zmierzające w stronę więcej jeszcze poetyczną, legendami Hellady owianą; obok posągu Parysa, lub tunelem pod kaskadą otworzonym, śpieszymy na pola Elizejskie. Kolumna strzaskana i płynące obok trzy strugi, łez to pamiątki żałobne. Zdruzgotany o góry piękny olbrzym granitowy sam już żalem napełnia serce; czy uszkodzony od burzy, czy umyślnie wykonany w ten sposób, zawsze nasuwa myśli o smutnym nastroju. Twierdzą, że to uprzytomnienie żalu po utraconych dzieciach; trzy strugi łez — żałobna pamiątka po trzech synach Zofii, zgasłych w zaraniu życia.

Idąc dalej, dochodzimy do granitowej podstawy, ozdobionej do niedawna popiersiem Trembeckiego; w roku 1901-ym jakieś duchy wędrowne uniosły na zawsze z pól Elizejskich popiersie poety. Na płycie marmurowej, wstawionej w jeden z boków podstawy, czytamy wiersz, napisany, o ile wiadomo, przez samego właściciela ówczesnej Zofiówki.

Rozmarzony poeta mile przemawia do strumyka:

Płyń, strumyku, szybkim biegiem.
Te na zawsze rzucaj cienie:
Z kwiecistym się żegnaj brzegiem,
Skrapiać dzikie spiesz kamienie!

Rozmyślając zaś o nietrwałości szczęścia na ziemi, dodaje:

Tak szczęśliwy dzień uchodzi,
Choć zbyt rzadki dla człowieka;
Ledwie się go ujrzeć godzi,
Tylko błyśnie i ucieka!

Naprzeciw podstawy z wierszem, za ruczajem, widzimy iglaste olbrzymy, w pierścień sadzone. Urocze to miejsce nazywa się „szkołą mędrców greckich.“ Na polach Elizejskich zwraca jeszcze uwagę drzewo wyrosłe z jednego korzenia: rozdzielając się przy ziemi na cztery części, tak było prowadzone, że nieco wyżej, trzy części łączą



A. Liezenmayer.

W DRODZE DO EGIPTU.

ALBUM „PRACY"

DRUKIEM „PRACY".

się ze sobą i rosną w górze zupełnie swobodnie, czwarta zaś część puszczona jest od korzenia oddzielnie; podanie głosi, że drzewo to przypomina czterech synów Potockiego i pięknej Greczynki, z których trzej żyli z sobą w przyjaźni, czwarty zaś trzymał się zdala od rodzeństwa.



Drzewo symboliczne na polach Elizejskich.

Dalej—łąka szmaragdowa z rzeźbą w marmurze — popiersiem cesarza Aleksandra I-go.

Mijamy łąkę i dochodzimy do olbrzymich granitów, które tworzą Herkulesową lub Lwią grotę podpartą potężnym monolitem, przywiezionym z okolicy, gdzie teraz okopisko izraelitów.



Kaskada.

Z prawej strony od wejścia, w głębi groty, wytryska woda z szumem i, zawdzięczając akustyce, napełnia grotę echem grzmotów; powstała z tego trzecia nazwa „grota grzmotów,“ najwięcej dziś rozpowszechniona; porównywano też szum wody do ryku lwa, ztąd też i nazwa „lwia grota.“

Wody szumiącej w grocie dostarcza staw z *„wyspą miłości“*; zdrój spływa tu zapomocą rury i bywa puszczany za wiedzą dozorcy. W głębokim cieniu wnętrza groty, po lewej stronie od wyjścia, dostrzegamy stół kamienny, przy którym możny dziedzic Humańszczyzny, według podania, zgrał się w karty i kazał wyryć podówczas na prawej ścianie od wejścia ten dwuwiersz:

Strać tutaj pamięć nieszczęść, a szczęścia przyjm wieszcze
A jeśliś jest szczęśliwym, bądź szczęśliwszym jeszcze.

Napis w środkowej swej części od działania wody stał się nieczytelnym i prędko zupełnie zniszczonym zostanie.

Przed grotą stoi wyniosła jodła amerykańska, własną ręką Metzla zasadzona. Nieco dalej źródło żelaziste; czy naprawdę woda ta posiada żelazo — warto zbadać; podanie przemawia za leczniczemi własnościami źródła, zaznaczając, że Szczęsny Potocki z dobrym skutkiem ją pijał.

S. T. z Ukrainy.

(Dokończenie nastąpi.)

Korony królów polskich.

Opisał i objaśnił rysunkami Walery Eljasz Radzikowski.

(Ciąg dalszy.)

Porównawszy teraz wizerunek korony Bolesławowskiej z opisami lustratorów, przekonywamy się, że rzeczywiście składała się ona z 10 sztuk do siebie podobnych; tej jednak szóstej z porządku, która była trochę mniejszą nie widać na obrazie. Osady kamieni nie są wiernie oddane, bo dużo z nich mieściło się w łożyskach wysoko nad powierzchnią korony ,w tak nazwanych kasztach, po łacinie lectulum, czego artysta nie uwidocznił. Obłęki krzyżujące się w górze z jabłkiem i krzyżykiem, zamykają koronę. Każda sztuka w kształcie lilii przedstawia wdzięczną sylwetę kwiatową, szczytem górującą po nad poziom tak zwanego „zawarcia“ korony, co fałszywie jest nakreślone w szkicu rysunkowym. Ciężka ona musiała być porządnie, jeżeli sobie uprzytomnimy przeszło 450 kamieni i pereł w złoto oprawnych, wagę obręczy i łuków wraz z krzyżykiem ale blaskiem różnobarwnych kamieni sprawiała wrażenie przepychu i bogactwa. Wewnątrz znajdowała się z aksamitu czapeczka dobrze wyściełana, która ułatwiała jej trzymanie na głowie.

Istotą, główną treścią korony polskiej są lilie, więc one stanowią jej charakter. Z końcem XII wieku, w epoce formacyi godeł czyli herbów narodowych, państwowych i rodowych dynastycznych z wojen krzyżowych przyniosło rycerstwo i rozpowszechniło po Europie jako ozdobę symbol N. Panny Maryi lilią. Dynastya królów francuskich przybrała za swój herb familijny lilią. Przeszedł ten kwiat wystylizowany w ornament do najrozmaitszych wyrobów sztuki i przemysłu. Uwydatniła się ona w koronach, w berłach, relikwiarzach, w aparatach kościelnych tak, że stała się w XIII wieku ornamentem panującym. Nawet zmiana stylu w budownictwie jej nie wyrugowała. Żyła sobie swobodnie tak w schyłkowym romańskim, jak w nowym gotyckim stylu, przekształcając się powoli i naginając do ostrołuku. Dziwną, a prawie niepojętą rzeczą jest ta kwestya, dla czego owa lilia wprowadzona do rzeczywistych koron, na pieczęciach królewskich nie jest uwidocznioną? Nawet w owej pieczęci Przemysława, coby się w koronie lilii spodziewać należało, nie ma jej, toż samo nie widać jej w pieczęciach Władysława Łokietka ani Kaźmierza W. podczas gdy na monetach począwszy od Wacława występuje sama korona bez postaci królewskiej bardzo wyraźnie z liliami.

Sylwetę owej korony monetarnej tworzy jedna lilia w środku, a po bokach dwie przepołowione; któreby miały przedstawiać czterokwiatową koronę. wysoką z ścianami prostopadłemi do podstawy, bez żadnych obłęków, jako „corona aperta.“ I taka korona pojawia się przez wiek 14 i cały 15 aż po Olbrachta włącznie, tylko linie jej boczne już od Władysława Jagiełły zaczynają się nachylać na zewnątrz, że tworzą z podstawą kąt nieco roztwarty.

Przemysława monet dotychczas nie odkryto, o ile mi wiadomo, ale za to Wacława jest ich dużo i na nich figuruje w całej okazałości korona sama z liliami.

Najwcześniej w koronach pojawiła się lilia we Francyi, gdzie rodzina panująca od czasów Ludwika Świętego za swoje godło ten kwiat symboliczny Panny Maryi przyjęła. Dom Kapetów rozrodzony potem w Andegawenów i Walezyuszów rozniósł po Europie swój herb i do nas zawitał tenże z królem Ludwikiem węgierskim, a rozgościł się wszędzie po Polsce z królową Jadwigą. Do Czech wkroczył kwiat lilii przez

Habsburgów, co widzimy najwyraźniej na koronach z XIII wieku.

Na koronie Kazimierza W. spotykamy się z kwiatem lilii herbowej o wiele piekniejszym od wszystkich poprzednich. A chociaż to dyadem okolicznościowy, wykonany z wielką prostotą bez żadnych ozdób ani ornamentacyjnych linij, to jednak trzeba przyznać, że mistrz, co tę koronę wykuwał, miał poczucie artystyczne, czuł wdzięk piękna i okazał go w samych konturach kwiatonów, nie mówiąc już o ślicznych proporcyach liści, które lekkością i wypełnieniem przestrzeni zachwycają. W niej uwydatnia się gotyk, gdy w wymienionych poprzednio koronach, nie wyjmując naszej polskiej oryginalnej, tak w szczegółach, jak w całości przebija się styl romański.

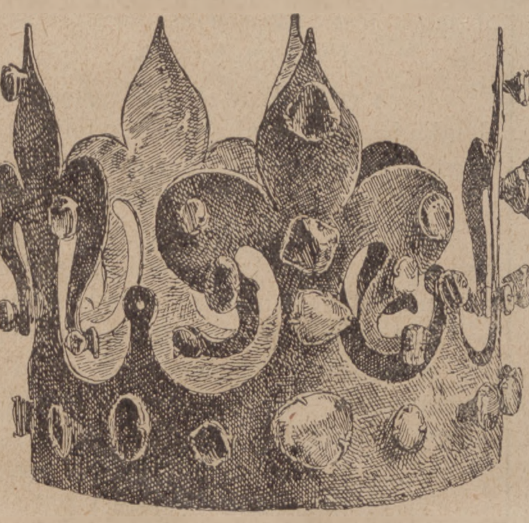
Patrząc nawet na czeską koronę, która przecież jest zabytkiem epoki rozwiniętego gotycyzmu za Karola IV, to choćbyśmy nie znali jej pochodzenia od współczesnego kronikarza czeskiego Hayecka, w kształcie jej lilii przy na musimy naśladownictwo dawniejszego wzoru, t. j. korony francuskiej z domu Valois. Za to ogólna forma czeskiej korony nie przedstawia wcale charakteru romańskiego pierwowzoru, a zwłaszcza zamknięcie jej dwoma łukami piętrzącemi się dla oka pod kątem ostrym nadaje jej tak zasadniczą różnicę, iż jej w żaden sposób z polską koroną porównywać nie można.

Streszczając tedy wszelkie swoje porównawcze spostrzeżenia, mogę powiedzieć, że korona, którą się królowie polscy koronowali, jest typowym okazem klejnotu XIII wieku, w charakterze stylu romańskiego, a tem samem należy jej sprawienie przypisać nie komu innemu tylko Przemysławowi.

Orzeczenie to jednak opieram na obrazie owej korony namalowanym przez Bacciarellego w portrecie Bolesława W. Jedno jeszcze na tej samej podstawie wolno oprzeć zdanie, że jabłuszko z krzyżykiem jest dodatkiem najmniej o dwa wieki późniejszym. Nie zdarzyło mi się na żadnej koronie aż po XVI wiek spotkać jabłuszka, zaś krzyżyk jeżeli się znalazł, to bywał sam uczepiony do przodowej ściany jak np. u obydwóch cesarskich koron, lub później na wierzch obłęków przeniesiony, co widać na węgierskiej koronie, który tam po barbarzyńsku wetknięto w środek emaliowanej postaci Zbawiciela.

Umieszczenie krzyżyka na środku obłęków w koronie czeskiej należy do osobliwości, co trzeba może przypisać przypadkowi, iż majster chciał koniecznie ze starej korony św. Wacława jeden chociaż zabytek z relikwią ciernia Chrystusowego uczepić do nowej korony, i tu go dał, gdy mu gdzieindziej się nie nadawał. W XV stuleciu na miniaturach cesarza Zygmunta napotyka się podobnie umieszczone krzyżyki na koronach, lecz to nie dowodzi, aby było to już regułą, bo w oryginalnych koronach ich nie ma.

A teraz nasuwa się bardzo ważne pytanie, co w koronie polskiej, za Przemysława przerobionej, ostało się z dyademu Bolesławowskiego? Na to odpowiedzi z malowidła w żaden sposób wyciągnąć nie podobna. Gdy jednak



Korona w grobowcu Kazimierza Wielkiego.

trudno przypuścić, aby Przemysławowi przytrafił się podobny przypadek co Karolowi IV w Czechach, że starą koronę z relikwiarza św. Wacława użyto na kruszec do nowej, można się spodziewać, że obłęki zamykające koronę polską pierwotną przeniesiono do świeżej. Łuki płaskie, krzyżujące się pod prostym kątem, pozwalają na stawianie hipotezy, że i w koronie polskiej „uprzywilejowanej" przymocowane do obręczy Przemysławowej tkwią obłęki Bolesławowskie. Analiza owej korony w naturze wydałaby dopiero niesłychanie ciekawe wyroki co do każdej tejże części składowej. Jednolitem dziełem w każdym razie ona nie jest, i gdy kiedy wyjdzie ta korona ze Szczerbcem na jaw z ukrycia, nie wyobrażam sobie więcej zajmującego przedmiotu do badań naukowych z dziedziny archeologii, nad te dwa zabytki z naszej przeszłości.

Ostatecznie dowodzenia powyższe streszczając, można powiedzieć, iż korona zwana „uprzywilejowaną, oryginalną" którą się polscy monarchowie koronowali do ostatka, jest Bolesławowską, w kształcie, nadanym jej przez Przemysława przy wskrzeszeniu roku 1295 godności królewskiej w Polsce.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Rok 1831-szy.

Bój z kirasyerami pod Grunwaldem.

(19 25-go lutego.)

(*Wspomnienie historyczne.*)

Szarpie wąsa Dybicz blady.
Aż zakrzyknął: — Niema rady!
Tak stupajcie Kirasyery,
Na te Lachy — bohatery! —

A były to tęgie chłopy
Sławne w bojach Europy,
Co w Paryżu postawili
*Pierwsi ciężkie swoje stopy! *)*

Na ogromnych koniach siedzą
Miecz katowski u rzemieni,
Pierś pod blachą, kask z piórami,
Nazwa ich: „Niezwyciężeni."

Mayendorf ten pułk prowadzi...
Trąby ryczą już pobudkę,
A żołnierze z pełnej kadzi,
Na ochotę piją wódkę.

Jakże runie ta konnica,
Z dzikim wrzaskiem w nasze roty!
Przełamały Kirasyery
Pierwszą linię nam piechoty.

Przełamały, powaliły,
Już na drugą tłum ten bieży...
A stał na niej major Kicki,
Z batalionem swych żołnierzy.

Mężnem czołem ich przyjmuje,
I na dziesięć kroków puści.
Aż zakrzyknie: — Ognia razem! —
Świsną kule z luf czeluści.

Bije piorun po piorunie,
Huczą strzały, ogień smali,
Aż z zakutych blachą koni,
Żelazne się chłopstwo wali.

Jęczy ziemia pod ciężarem,
Lecą kaski i z mieczami,
A pułkownik Kicki z boku
Wpada na nich z hułanami.

Dwustu przeszło tych olbrzymów
Wzięli nasi tam w niewolę,
Reszta trupem zawaliła
Tej pamiętnej walki pole.

Kilku ledwo się urwało,
Na swych koniach pędzą wronych.
— Jenerale! — Niema pułku!
Niema już „Niezwyciężonych!"

Jan Sawa.

Obrazek z mobilizacyi.

Dniem mobilizacji był 22. grudnia, godzina 6 rano: punkt zborny: miasto powiatowe Olkusz, zborny tak dla ludzi, jak i koni, mobilizowanych z całego

*) W 181 r.

powiatu. W tym celu już 20. grudnia rzucono z ogniska władzy iskrę, która lotem przebiegła wystraszone wsie i miasteczka. Rozkaz wydany gminom opiewał, aby w nich dnia 21. grudnia zgromadzić ludzi i konie, na taką i taką godzinę, stosownie do odległości danej gminy od Olkusza. Całą tę masę ma każda gmina na godzinę 6 rano dnia następnego do powiatu dostawić. Jak wiadomo, 6 rano w grudniu, to jeszcze noc, z naznaczonej zaś 6 przerażeni wójtowie cofnęli jeszcze rozkaz na godz. 5, aby zaś na ową 5 wszystko już było na miejscu, rozkazano już o zmierzchu dnia poprzedniego zgromadzić się w gminach. Po ukazie tedy „Najwyższym", jak było powiedziane (a prawdę mówiąc po najniższym, bo wójtowym), sprowadzono w ciasne wiejskie opłotki po 250 do 300 ludzi, tak zwanych zapasowych, i wszystkie zapisane konie z człowiekiem do każdego z nich i furażem na osobnych wozach. W zbitym tłumie czekano wyjazdu aż do północy, na zimnie i wietrze przenikliwym. Około północy wyruszyły smętne korowody podwód z ludźmi i ludzi z końmi. Jechały noc całą. Z boku patrzącego aż mrowiem przejmował ten pochód bez krzyku, bez jęku, ludzi idących kłaść głowy na krańcach świata.

Rzuciłem wzrok po ludu ściśnionego kupie
...wszystkie twarze pobladły, jak trupie
A w całym tłumie taka była cichość głucha,
Żem słyszał każdy krok ich

Zabrałem się z nimi. Kto nie zna dróg Olkuskiego w zwykłym stanie rzeczy i kto ich nie spróbował w ową noc grudniową, temu opowiadanie żadne wyobrażenia o tem dać nie może. Pomęczone konie włościańskie, podrażnione długiem staniem na zimnie, ostrzejsze stajenne, wpadając w niezgłębione dziury o zmarzniętych brzegach, a kamienistym i wodą zalanym spodzie, spychały się, najeżdżały i wywracały ludzi. Ciężka to była jazda. Dobrnięto wreszcie do Olkusza. Ludzi z rezerwy w liczbie 4700 wpuszczono do miasteczka, konie zaś, i po jednym człowieku przy każdym (było tego przeszło tysiąc) skierowano do pobliskich krzaków. Zdawało się, że przynajmniej, jak się rozwidni, zacznie się branka. Godzina 5 rano; ciemno, wicher dmie, konie poprzywiązywać kazano do rozciągniętych drutów; wszyscy czekają, co będzie. Czekają godzinę, dwie, czekają tego słońca, które razem ze światłem swojem przywieźć ma upragnioną komisję, mającą z koni wybrać potrzebną ilość, a resztę uwolnić do domów. Ludzie trzepią rękami, konie rżą, gryzą się, trzęsą i kwiczą z zimna. Nareszcie upragniony brzask. Teraz już pewnie brać zaczną. Koniom podsypano siana; czekają. Tarcza słoneczna wytacza się na niebo. Widać ćmy ludzi i koni; obóz biwakujący, krzyki, nawoływania; tu czapka mignie kozacka, owdzie szary płaszcz wyższego wojskowego. Gdzie komisja? Komisji niema.

Chcąc zasięgnąć języka, idę do miasteczka, ale dowiedzieć się o nic nie sposób, bo nikt nic nie wie. Zatrzymał mnie smutny obrazek. Jakiś obywatel z okolicy stoi na placu z miną skłopotaną; naokoło niego ciśnie się gromadka znękanych chłopów i biadających kobiet, widocznie z jego wsi, jakby szukając pomocy, ratunku, prosząc o opiekę nad pozostałymi, o radę dla siebie, zresztą nie wiem nawet o co — dość, że w całej tej gromadce przebijał wyraz lęku, smutku i rozpaczy. Chłop nasz nie łatwo płacze, a tu wszystko płakało. Obywatel tarł czoło z wyrazem coraz większego przygnębienia; wreszcie nie wiedząc już, co począć, zaczął rozdawać garnącym się do niego po parę sztuk monety, mającej gdzieś tam nad Oceanem Spokojnym pomódz im może w chwili ciężkiej potrzeby. Przyjęty do głębi, wróciłem do lasku. Zastałem sytuację niezmienioną. To samo oczekiwanie, tylko koniska łby już apatycznie pospuszczały, drżąc z zimna, nawet siana się już nie imając. Nagle szmer szeptów ruszył falą od strony miasteczka; wszyscy wyciągnęli szyje. Sunie nareszcie kilka urzędowych postaci, a w środku czapka czerwona, jeneralska. Gubernator przeszedł szybko, rzucił wzrokiem po zebranym tłumie, podał rękę kilku urzędnikom, przełożył dwa palce do czapki w stronę innych i odjechał. Do końca dnia niewiele się zmieniło; komisja wprawdzie się pokazała, ale pracując aż do wieczora,



Józef Ryszkiewicz. **Na biwaku.**

wzięła 13 koni i poszła. Na to marzły całą dobę tysiące ludzi.

Byłem już tak zmęczony, żem z radością ujrzał kącik w sklepiku żydowskim na spędzenie nocy. Tam ci w lasku spędzili ją gorzej: porozpędzano ich do wsi pobliskich, gdzie się mieścili człowiek przy człowieku, koń przy koniu, po chatach i stodołach. Część, nie znalazłszy miejsca w rzadko rozsianych sadybach pustej, piaszczystej okolicy, nocowała na dworze. Ledwie dnieć poczęło, obudzony szwargotem sklepikarza, udałem się znowu do obozowiska. Wszystko już zastałem na miejscu, jak wczoraj. Dnia tego komisja już funkcjonowała, to znaczy, że po długim namyśle i przebieraniu wyznaczyła kilkadziesiąt koni, przeważnie małych chłopskich; gminy zaś dalej stać musiały bez ograniczonego terminu. Wzięcie tej niewielkiej ilości trwało do godziny 11 w nocy; rzecz naturalna, że od czwartej począwszy, przy dwóch pochodniach i ogniskach. W dzień komisja na prędkie branie zdobyć się nie mogła; można więc sobie wystawić, co się działo w nocy. Nie obeszło się i bez komicznych epizodów. Wzięto np. konia, którego w jakiś czas potem kozak odprowadził, meldując spokojnie: *Eto sowsiem slepoje!*

O godz. 11 komisja poszła spać bez troski, że już jest zapóźno, aby ktokolwiek mógł szukać noclegu w zapełnionej po brzegi mieścinie. Rozpoczęła się noc prawdziwie piekielna. Zostałem jeszcze czas jakiś. Wicher dął o suche gałęzie lasku; obrzucał wszystko i wszystkich jakąś mgłą zmarzniętą, tnącą jak szpilki; ludzie drżeli i grzali spuchnięte ręce nad rozżarzonymi węglami, aż wśród tych, do podziwu biernych i wytrzymałych ludzi, raz wraz słyszeć się dawał pomruk „...nie trza szukać Aponii...“ W tych warunkach nadszedł ranek wilji Bożego Narodzenia. Grudzień smalił coraz gorzej, a obrazki z dni poprzednich nie zmieniały się w niczem, chyba, że komisja, trochę wprawiona, wzięła w tym dniu aż 105 koni, trzymając jednak wszystkich aż do godz. 10 w nocy.

Mijał polski wieczór wigilijny; w pustych chatach lamentowały kobiety i dzieci—te za wziętymi do wojska, tamte za tymi, którzy bez racji i przyczyny przebywali te chwile na mrozie, chłodzie i głodzie... Ludzie, jedni wzięci do wojska, drudzy niepewni jeszcze swego losu, zostali w Olkuszu. Konie z ludźmi popowracały do domów w nocy lub nad ranem w pierwsze święto Bożego Narodzenia.

* * *

Korespondent „Nowej Reformy“ z Warszawy podaje interesujące szczegóły o skandalicznem postępowaniu władz rosyjskich podczas mobilizacyi. Jakkolwiek władze miejscowe wiedziały na kilkanaście dni przed ogłoszeniem reskryptu o terminie mobilizacyi, rozporządzenie to jednak—pisze korespondent—spotkało się z takiem nieprzygotowaniem, jak gdyby naczelników wojskowych i powiatowych zbudzono nagle ze snu głębokiego. Ani komisyi poborowej, ani koszar, lub pomieszczeń, ba, nawet list rezerwistów nie znaleziono w pogotowiu. Powołanych zapasowych nie miano gdzie pomieścić i wzywano do stawienia się ludzi, którzy dawno pomarli. Co za umundurowanie, bieliznę i obuwie dawano nowopowołanym obrońcom ojczyzny, to zaiste więcej niż wstyd nawet dla państwa rosyjskiego.

Kożuchy otrzymują rezerwiści zszywane z resztek skór z psów, kotów, zdechłych owiec itp. Za każde takie „futro“ intendantura płaci dostawcom po 6 rub. 50 kop., choć wartość jego nie sięga i dwóch rubli. Na łapówki i zysk przedsiębiorców wypada więc z górą 4 rb. 50 kop. od sztuki. A buty „filcowe“—o tych lepiej już wcale nie mówić“. Ogromne nadużycia popełniano również przy zakupnie koni. Za skromną nawet łapówkę żydzi-handlarze sprzedają komisyom po taksie kilkuset rubli konie, które, jak w Płocku np. intendantura odsprzedaje obecnie po kilkanaście rubli sztuka. Niemało też zakupiono koni z jawnymi oznakami nosacizny. Brano też klacze źrebne, wszystko jedno, aby handel szedł. Za to niektórym obywatelom pobrano wspaniałe „czwórki“ wartości po kilkaset tysięcy rubli, za które płacono „według taksy“, narażając ziemian na kolosalne straty.

Korespondent stwierdza dalej, że „zamach na mosty kolejowe w Królestwie był zorganizowany planowo i obejmował różnorodne linie w całym kraju. Ze strony władz żandarmskich i prokuratoryi poczyniono energiczne zabiegi, celem wykrycia sprawców, a raczej jak się okazuje, całego związku zaprzysiężonych sprawców zamachu.

†

Ostatni z Czwartaków.

Gilowice, per Rychwałd koło Żywca (Galicya) 5 stycznia 1905

Dnia 2-go b. m. zmarł we wsi naszej, oficer-weteran wojsk polskich,

Ś. p. Józef Stanisław Berini,

Sybirak, ostatni ze sławnego pułku 4-go tak zwanych Czwartaków, przeżywszy lat 93.

S. p. Berini urodził się w roku 1808 w ziemi Sandomierskiej w Radomiu w Królestwie Polskiem. W młodym wieku uczęszczał do sławnej szkoły podchorążych, w roku 1830/31-ym walczył w powstaniu przeciw Moskalom; brał między innemi udział w nocy listopadowej i w bitwach pod Grochowem i Ostrołęką, gdzie został ranny. Po wzięciu Warszawy musiał uchodzić przed pościgiem wroga, a w roku 1833-cim znowu chwycił za oręż w walce o niepodległość Polski. W tym czasie został schwytany i zesłany na Sybir, gdzie przebywał przez 27 lat. Po 27 latach został ułaskawiony i powrócił do Krakowa, zkąd hr. Branicki powołał go do Suchej i powierzył mu obowiązki zarządzcy w jednym z sąsiednich folwarków. Po kilku latach otrzymał emeryturę i osiadł w Gilowicach między Żywcem a Slemieniem w uroczej kotlinie na dworku na dożywociu, gdzie zmarł. Wieść o Jego śmierci rozniesie się po całej Polsce.

Dnia 4-go b. m. odbył się pogrzeb ś. p. Beriniego, na który przybyły prócz licznego duchowieństwa tłumy ludu. W kościele wygłosił miejscowy ks. proboszcz piękną mowę o miłości i poświęceniu dla naszej ukochanej Ojczyzny i wezwał zebranych do prawdziwej miłości i szanowania ojcowskiego języka i mowy naszej polskiej.

Z kościoła nieśli zwłoki na cmentarz urzędnicy hr. Branickiego i Sokoli ze Żywca na przemian, a nad grobem przemówił w imieniu Sokolstwa p. Stanisław Szczepański, członek Sokołów żywieckich.

Nieboszczyk nie wątpił nigdy o odrodzeniu Polski.

Wieczny pokój Jego duszy racz dać Panie, a światłość wiekuista niech Mu świeci na wieki wieków!

Józef Gąsiorek,
gorliwy czytelnik „Pracy.“

* * *

Weteran trzech powstań.

Dnia 24 z. m. i r. złożono na miejsce wiecznego spoczynku na cmentarzu Kalwary w Brooklynie w Ameryce zwłoki

śp. Stanisława Gralichowskiego,

starca lat 94 liczącego, uczestnika 3 naszych powstań.

Śp. Gralichowski pochodził z Ks. Poznańskiego. Urodził się w 1811 roku w mieście Klecku. Nauki pobierał w szkole miejskiej w Poznaniu, po ukończeniu których, poświęcił się za-

wodowi drukarskiemu. Po kilkuletniej praktyce w znanym zakładzie Poplińskiego, młody Gralichowski, będąc gorącym patryotą, zamienił czcionki na karabin. W 1830 roku w Królestwie Kongresowem wybuchła rewolucja. Na pierwszy odgłos strzałów młodzieniec o niczem nie marzył jak tylko o wstąpieniu w szeregi obrońców ojczyzny i tylko ciężka choroba matki, której był jedyną podporą, opóźniła to wstąpienie. . Gralichowski przybył do armji narodowej, na kilka dni zaledwie przed kapitulacją Warszawy.

Po upadku rewolucji Gralichowski powrócił do Poznania i zajął miejsce w tej samej drukarni, ale wkrótce aresztowany przez władze pruskie oddany został do wojska pruskiego, z którego zbiegł i udał się do Paryża. W stolicy Francji pracował stale w drukarni u Jezuitów, aż do wybuchu rewolucji, która obaliła tron Ludwika Filipa. Przykład dany z Paryża odbił się dalekiem echem i w Ks. Poznańskiem. Emigracja polska w Paryżu sformowała zbrojny legion pod wodzą pułkownika Brzezińskiego i postanowiła wysłać go w Poznańskie. Gralichowski zaciągnął się do tego oddziału i razem z nim przez południowe Niemcy wyruszył ku ojczyźnie. Oddział ten, jak wiadomo, dotarł do Magdeburga i był przez wojska pruskie rozbrojony, a żołnierze internowani w Langensaltza. Z tego miasta koledzy dopomogli Gralichowskiemu przedostać się do Krakowa, gdzie z początku pracował przy dzienniku „Czas", a następnie założył swoją własną drukarnię i prowadził takową aż do 1861 roku.

Wówczas to wydał własnym nakładem „Czarną Księgę" Czaplickiego, ten najwierniejszy obraz prześladowania naszego narodu.

W tym czasie obok jawnej prowadził także tajną drukarnię, w której wykonywał wszystkie rozporządzenia, dotyczące ostatniego powstania.

W 1863 r., wskutek rozkazu od rządu narodowego, udał się na plac boju w Sandomierskie i objął kierunek nad drukarnią polową w obozie Langiewicza. W bitwie pod Grochowiskami, drukarnia polowa uległa zniszczeniu, a sam Gralichowski razem z Wywiałkowskim prowadzili znów tajną drukarnię w Krakowie, na usługach rządu narodowego, dopóki policja austrjacka nie przyłapała ich na gorącym uczynku i osadziła w areszcie.

Po odsiedzeniu 6 miesięcy ciężkiego więzienia Gralichowski otrzymał znów pracę jako drukarz w Uniwersytecie Jagiellońskim, a następnie brał udział w wydawnictwie „Kraj", mając z tego powodu ciągłe zatargi z policją.

Aby uwolnić się od ciągłych prześladowań i aresztowań, Gralichowski w 1876 r. wyjechał do Ameryki, gdzie z początku, nabywszy kawał ziemi w Sullivan County, poświęcił się rolnictwu. Wskutek nieszczęśliwego wypadku stracił oko; następnie pracując znów w swoim zawodzie przy wydawnictwie „Ojczyzny" w Buffalo zaniewidział na drugie oko. Resztę życia jako ociemniały starzec spędził nie wesoło, pielęgnowany przez swoją staruszkę żonę, o ile na to szczupłe bardzo środki dozwalały.

Ś. p. Stanisław Gralichowski odznaczał się zawsze gorącą miłością Ojczyzny i nigdy nie wątpił o odrodzeniu Polski.

Niechaj Mu obca ziemia będzie lekką!

Za dusze braci!

W cmentarnej ciszy — w wielkiem państwie ducha
Myśl wskrzesza dawno zamarłe postacie,
Głosów przeszłości z namaszczeniem słucha,
A ludzkie szczątki w smutnej grobów szacie
Budzą w pamięci bliskich dusz wspomnienie —
Te ukochane, drogie nam istoty,
Co poszły od nas wśród mogilne cienie —
Do których biegną serc naszych tęsknoty!

Poszli na zawsze... Śpią cisi i niemi,
Po burzach życia i walkach nad siły!
Znaleźli spokój na cmentarnej ziemi.
I tam wspomnieniem czcimy ich mogiły.
Ale nie za te tylko biedne dusze,
Módlmy się teraz... Módzmy się za braci
Których skazują na śmiorć i katusze,
Ojczyzny naszej siepacze i kaci!

Niech płyną szczere z serc naszych modlitwy



C. Kröner. **W popłochu.**

Za tych, co niosą tę daninę krwawą,
Za dusze braci z Królestwa i Litwy
I z tymi również niech się duch nasz zbrata,
Co chociaż jeszcze są w żyjących kole —
Gnani przemocą moskiewskiego kata,
Już wyrok śmierci mają na swem czole!

Kulig

Dlaczego my coraz częściej zaczynamy wyrzucać pomiędzy rupiecie zwyczaje stare, które nam droga przeszłość zostawiła w spuściźnie? Święcone, opłatek, składanie życzeń dosiego roku, powinszowań w dniach uroczystości rodzinnych, wszystko to wychodzi z mody... Do tego samego składu starzyzny, która snać już wdzięk dla nas straciła, rzucimy z pewnością także niebawem: kulig — jeśliśmy tego nie zrobili dotychczas.

My sobie jedziem kuligiem
I w noc i we dnie...
Wesołe, szalone, przednie!
A kto się pyta
O sprawy czyje,
Tego przywita
Wrzawa, śmiech pusty:
Czy znasz ty polskie zapusty?

A jak to było uroczo, jak cudnie mknąć tak sankami z chyżością ptaka po gładkiej, śnieżnej płaszczyźnie! Dzwoneczki dzwonią w takt rączego klusa, a rozjarzone jaskrawo pochodnie rzucają blask rzęsisty na drzew opale i dyamenty. Gdy się przytem miało obok siebie taką nadobną jak Kmicic Olenkę, to chyba i w czarownej baśni piękniejszej nie wyszukasz jazdy!

W oddali majaczy wśród mgły srebrnej stary dworek, świecąc jak szopka przeźroczem jasnych okienek.

Spodziewają się nas, ale nie są zupełnie pewni. Mróz siarczysty kwiatami osiadł na szybach. Wpadamy z hukiem, hałasem, krzykiem, a z nami radość i wesele bez konwenansów, bez frazesów, bez udania: szczere, serdeczne. Stroje polskie, krakowskie, barwne, mieniące się, żywe. Jest organista z długą zabawną oracyą i pan pisarz i bakałarz. Wszystko pełne humoru, werwy, animuszu, rzuca się do oberka i do krakowiaka, aż dom drży w posadach.

Tak bywało dawniej...

Dziś mamy five o clock'i, dyżestki, jourfixy, reuniony, a zamiast krakowiaka i oberka — sirocio, kake-walk'a i niebawem z pewnością ragtime.

k. z.

Marszałek Ojama,

głównodowodzący wojskami japońskiemi.

Marszałek Ojama, naczelny wódz armii japońskiej, odznacza się nadzwyczajną brzydotą, ale nieforemna masa jego grubego i małego ciała ożywiona jest nadzwyczajną energią i bystrością. Potężna głowa osadzona jest, jak u karła, głęboko między ramionami i przy każdym obrocie głowy poruszają się także ramiona. Cała postać Ojamy jest mieszaniną potworności i czegoś, co imponuje, a różni się znacznie od typu japońskiego. Jego twarz jest zupełnie bez zarostu, gładko ogolona, budowa czaszki i rysy bardzo charakterystyczne. Ospa zorała jego brunatną skórę, i to oszpecenie nadaje mu piętno jakiejś tajemniczości ponurej. Tylko w kącikach ust drga uśmiech dobroduszny i dwoje dużych palących, czarnych oczu rozjaśnia straszne oblicze.

Głos jego jest głęboki. Wyrazy wyrzuca szybko, krótko i stanowczo. Czuć, że ten człowiek przywykł już od dawnego czasu do wydawania rozkazów. Dowcip ma gryzący, zachowanie pełne ujmującej dystynkcyi, wszystko w nim jest zarazem czarujące i odpychające. Wielbiciele nazywają go Napoleonem japońskim.

Liczy on obecnie lat 62, ale wygląda o wiele starzej. Ciało jego uległo trudom życiowym, duch tylko młodym pozostał. Wychowywał się we Francyi i uczestniczył w wojnie 1870 roku, jako attache japoński przy armii francuzkiej, ale więcej nauczył się od Niemców, niż od Francuzów. On to przeprowadził reorganizacyę armii japońskiej w ciągu 30 lat. Wszystko, co kraina mikada zdobyła w swym militarnym rozwoju, jest w znacznej części jego wyłącznem dziełem.

Ale Ojama pełnił nietylko obowiązki ministra wojny, lecz piastował także tekę ministra oświaty. Należy on do najbliższych przyjaciół mikada i uchodzi razem ze starym wodzem Jamagatą, któremu wiek sędziwy, nie pozwala uczestniczyć w wojnie, za prawą i lewą rękę cesarza. Najwyższe dostojeństwa państwowe stały się jego udziałem, w wojnie chińskiej stanął na czele drugiej armii i zdobył Port Artura. Dowodził także w wyprawie na Wej-haj-wej, ale wypracowawszy plan operacyjny, oddał komendę Kurokiemu i Sakumie, a sam na oddalonym pagórku wyczekiwał rezultatu walki. Nie znaczy to jednak, aby był tchórzem; przeciwnie, złożył już niejednokrotnie dowody odwagi osobistej, ale pod Wej-haj-wej tak wierzył w ścisłość swoich obliczeń strategicznych, że uważał za zbyteczne fatygować się na pole bitwy.

Wobec żołnierzy odznacza się wielką, może nawet za wielką wyrozumia-



Marszałek Ojama, głównodowodzący wojskami japońskiemi.

łością i koleżeńską dobrocią. Opowiadają sobie w Japonii, że podczas wojny chińskiej, powracając do swojego namiotu, zauważył żołnierza stojącego na warcie, który uderzył go smutnym, przygnębionym wyrazem twarzy.

— Co ci jest? — zapytał.

— Od rana nic w ustach nie miałem — odparł żołnierz.

— Dlaczego?

— Musiałem zastąpić towarzysza, który zachorował i czasu nie było na jedzenie.

Ojama odebrał mu karabin i rzekł:

Idź do mojego namiotu, tam na stole stoi przygotowane śniadanie. Najedz się do syta, a ja tymczasem stać będę na warcie.

Opowiadają także, że Ojama, lubo uchodzi za wielkiego wodza, wojny jednak nie lubi. *Z.*

W ostatnią noc.

Nawet straż więzienna zbliżała się do niego z trwogą i odrazą.

Był to bowiem prawdziwy potwór. Łeb ogromny, kołtuniasty — twarz szeroka, zarosła, brwi krzaczaste, usta grube, a szczęki, jak u goryla. Siedział skuty łańcuchami, tak, że nie mógł poruszać swobodnie ani ręką, ani nogą.

O jego zbrodniach krążyły przerażające wieści. — On milczał. — Nie odpowiadał na żadne pytania — nawet ksiądz spowiednik już kilkakrotnie próbował skruszyć tę zdziczałą duszę — ale nadaremnie. — Był jak głaz, jak szczyt niebotycznej góry, zimny, tajemniczy, groźny.

— Wiedz synu, przemawia do niego łagodnie spowiednik, że dusza twoja wyszła od Boga najdobrotliwszego Ojca naszego i do niego wrócić powinna... wrócić czystą, jasną...

Na twarzy więźnia odbija się zniecierpliwienie, nuda.

Usta wykrzywił, pokazując szereg białych, groźnych, jak kły u wilka zębów, a z piersi jego wydobył się chrapliwy głos stłumiony, zgnieciony, ale tak przejmujący, że spowiednik wstał... odsunął się od tego nieszczęśnika — wpatrzył się w niego swemi ascetycznemi oczyma i zabrał się do odejścia.

W progu stał strażnik więzienny z latarką i pękiem kluczy.

Drzwi od celi zamknięto, z głuchym łoskotem... Został sam.

Nie zmienił pozycyi — nie zmrużył oczu, nie myślał o śnie...

Sen... Ile razy próbował przysłonić oczy powiekami — natychmiast widma jego ofiar rzucały się na niego wściekle.... Pocóż więc przywoływać te przeklęte mary — lepiej mieć oczy wiecznie otwarte, choć go pieką, palą jak rozpalony ołów.

Powieki nabrzmiały mu tak, że zamknąć by ich już nie mógł, a białka nabiegły krwią. Umrze tak z otwartemi oczyma...

W więziennym gmachu cisza — a tam, tam na szerokim świecie szaleje wichura... Echa jej dochodzą, aż tu — on je chwyta chciwie, piersi mu się prężą, rozdymują nozdrza.

— Wyrwać się i lecieć tam...

Jeszcze raz wchłonąć strugę zimnego wiatru — poczuć go na licach, — uczuć się wolnym... a potem rzucić się w przepaść lub o skałę rozbić swą czaszkę. Ale pierwej pohulać!

A myślom tym wtórował wicher, który wdarł się na kurytarze więzienne, jakby szukał swego towarzysza, nawoływał go, wabił — jakby mu przynosił wieści z puszcz.

Przez małe okienko wslizgnęło się kilka promieni księżyca, ale tak nieśmiało, tak trwożliwie, jakby wiedziały, że przestępują surowy zakaz.

Zbrodniarz wodził za nimi oczyma — te promienie, to nici łączące go ze światem.

Światło padło na ścianę — ślizga się po niej — oświetla framugę...

— Kto tam — to... to... Ty...

W framudze stoi oparty krucyfiks, oblany smugą świetlaną. Wzrok Chrystusa spoczął na jego oczach — zagłębia się w duszę.

Nie mógł znieść tego wzroku, odwrócił się, drżąc cały.

— Wiem, że znasz mą duszę, więc czego chcesz?

A Chrystus patrzy wciąż tak łagodnie, tak miłościwie, tyle tam niewyczerpanej słodyczy, tyle Bozkiego miłosierdzia...

— Gdyby to mogło być...

Spojrzał raz jeszcze w twarz Syna Bożego, w twarz po której ściekały krople krwi...

— Tyś cierpiał... wiele...

I przymknął oczy. Po raz pierwszy nie zjawiły się przed nim mściwe widma, a natomiast widział blizko, tuż obok siebie miłosierną twarz Jezusa. Więc ośmielił się patrzeć w te oczy, które mówiły mu, jak wówczas na Kalwaryi:

— Zaprawdę powiadam ci, dziś jeszcze ze mną będziesz w raju...

Ocknął się — spojrzał w stronę, gdzie stał krucyfiks, lecz dojrzeć już nie mógł, gdyż w kaźni panowała ciemność.

W drzwiach rozległ się zgrzyt klucza — wszedł dozorca. Podniósł w górę latarkę i spojrzał groźnie na skutego zbrodniarza, poczem skierował się ku framudze i wyciągnął rękę, aby zabrać krzyż.

— Nie bierz — wyszeptał błagalnie więzień, a głos jego tak drżał, że dozorca zdziwiony popatrzył na niego, zatrzymał się chwilkę i wyszedł pośpiesznie.

...W kilka godzin później spowiednik rozpłomieniony, patrząc miłośnie na pokornie klęczącego u swych stóp grzesznika i bijącego się w piersi, wyrzekł uroczyście:

— Synu, odpuszczone są twoje grzechy.

Na podwórzu więziennem stało już rusztowanie.

Jakub Hodur.



Z teatru wojny: Przejście przez rzekę.

Rybak Uraszima.

Legenda japońska.

Był jasny poranek wiosenny i słońce podniosło się właśnie z morza, a promienie jego padły na przytuloną do brzegu wioskę i lśniły w gałęziach drzew wiśniowych, które, stojąc w kwieciu, siały dokoła słodki zapach. Za każdym powiewem wiatru padały na ziemię płatki kwiecia i ziemię naokoło pnia posypywały niby śniegiem. Za wsią, w głębi horyzontu, wznosił się w potężnych zarysach boski Fuzi, jeszcze w zimowej szacie. Niby olbrzym lodowy góra ta strzelała w powietrze.

Przy brzegu kołysała się łódź, podnoszona falami, ale morze było ciche i rozciągało się błyskotliwą powierzchnią w dal, niedoścignioną okiem, lekko pomarszczone. Chmury płynęły po niebie i rzucały cień na toń morską, światło słoneczne płoszyło je — i tak na tej cichej wód przestrzeni odbywała się gra barw różnolitych.

Ciche wybrzeże ożywiać się zaczęło. Silne postacie o twarzach ogorzałych dążyły do łodzi, ażeby rozpocząć swoją dzienną pracę. Przyszedł również Uraszima, chłopak rybacki, sieć na ramionach niosąc. Złożył ją na dnie łodzi, a chwyciwszy za wiosło, kilku uderzeniami o falę wypchnął statek na toń szafirową, poczem podniósłszy żagiel oddał siebie i łódź na wolę wiatru porannego. Na pełnem morzu zarzucił sieci i czekał cierpliwie, ale słońce przeszło już przez zenit, a Uraszima nic jeszcze nie złowił. Szczęście tym razem nie sprzyjało mu. — I już chciał powrócić do brzegu z pustem czółnem, gdy nagle postanowił jeszcze ostatnią uczynić próbę. Wyciągając sieć, spostrzegł, że jest ciężką, a gdy ją otworzył na łodzi, ujrzał w niej żółwia, zwierzę, poświęcone bóstwu morskiemu.

Obawą i czcią przepełniony, chłopak napowrót żółwia wpuścił do morza. Zaledwie przykryły go fale, wypłynęła z nich nimfa o rozpuszczonych włosach i zbliżyła się do łodzi. Uraszima przeraził się, ale ona w te słowa przemówiła do niego:

— Porzuć obawę! Świętego żółwia uszanowałeś, więc bóg morza postanowił cię wynagrodzić. Chodź ze mną. ,

I zanim chłopak zdołał odpowiedzieć, łódź pomknęła jak strzała przez fale, coraz dalej i dalej. I zerwał się orkan, który rozerwał żagiel na strzępy. Po tej podróży szalonej wylądował chłopak na pustej wysepce. Ujrzał przed sobą ciemne wejście, jakby do groty, więc wstąpił tam i kroczył dalej. Ciemność z początku panowała dokoła, później światło blado-zielone przedzierało się szczelinami, a wreszcie powstała jasność, w której chłopak ujrzał wspaniały pałac podmorski. Służbę pełniły ryby o kształtach dziwacznych, a olbrzymie potwory stały na straży u bramy pałacowej. Ze schodów zeszła naprzeciw śliczna kobieta, w której chłopak poznał swoją nimfę. Spuściła oczy i cichym głosem wyrzekła:

— Jestem córką boga mórz. Czy chcesz mnie pojąć za żonę?

I wziąwszy w dłoń swoją, rękę chłopaka, powiodła go za sobą.

Młoda para zaczęła życie pełne czaru i rozkoszy, a troski zdala przed nią pierzchały. Ale po kilku latach w chłopaku rybackim powstała tęsknota za rodzicami. Byli to ludzie podeszłego wieku i Uraszima chciał ich jeszcze raz zobaczyć. Długo pokonywał tęsknotę, ale wreszcie wyznał ją swej małżonce. Ona przeraziła się wyznaniem Uraszimy. Przez długi czas nie chciała puścić chłopca, ale nareszcie widząc, że łzy jej i prośby nie odnoszą skutku, puściła chłopca. Na drogę dała mu czarną skrzyneczkę i rzekła:

— Zachowaj tę skrzynkę, ale przysięgnij, że nigdy jej nie otworzysz. Gdy ujrzysz rodziców, zaraz do mnie powrócisz, jeżeli jednakże nie wypełnisz rozkazu mojego, powrót dla ciebie będzie zamknięty.

Uraszima, który swą królewską żonę kochał, złożył przysięgę i przyrzekł szybko powrócić. Zaledwie uwolnił się z objęć płaczącej bogini, powstała burza i olbrzymia fala wyniosła Uraszimę na brzeg ojczysty. Spojrzał dokoła siebie. Poznał kształty okrytej śniegiem góry Fuzi, ostre kontury blizkiego pasma gór, ale rodzinnej wioski swojej nie poznał. Wszystko było mu obcem, a przechodnie, patrzący na niego ze zdziwieniem, byli mu wszyscy nieznani. A jednak pamiętał każdego rybaka.

Nareszcie przystąpił do pewnego starca i zapytał o swoich rodziców i krewnych.

— Wszyscy już leżą na cmentarzu — odpowiada starzec. — Ale kto ty jesteś przybyszu że się pytasz o ludzi, którzy zmarli przed 400 laty?

Uraszima szybko odszedł, podążywszy na cmentarz. Wzdłuż muru, zwietrzałe i popękane, mchem okryte stały starożytne grobowce jego rodziny. Odczytał napisy na pół zatarte i odczytał także swoje imię z uwagą, że utonął w morzu. Załamał ręce i płacząc usiadł na murawie, pełen żałości, że już nigdy swoich nie ujrzy.

Wszystko to jest snem i złudą — powtarzał uporczywie. — Wszakże minęły zaledwie trzy lata od chwili, gdy ztąd poszedłem.

Przyszła mu na myśl skrzyneczka. Powiedział sobie, że w niej spoczywa czar, że gdy ją otworzy, ujrzy rodziców I mimo przysiąg, otworzył skrzynkę. Ale we wnętrzu jej nic nie było, tylko lekki dym uniósł się w powietrze, utworzył chmurkę i popłynął ku morzu Uraszima chciał pochwycić ową chmurkę przerażony złamaniem przysięgi, poznał bowiem, że stracił szczęście swoje bezpowrotnie.

Ale daremnie: chmurka wnet znikła z oczu jego. Stał chwilę pełen rozpaczy, ale wnet zwiędło oblicze jego, pobielały włosy, straciły siłę członki i chłopak rybacki padł martwy pod ciężarem czterech wieków.

Praca fizyczna — potrzebą dziecka.

Wśród wrodzonych popędów dziecka pierwsze miejsce zajmuje potrzeba ruchu. Ruszać się, ćwiczyć swoje mięśnie jest pierwszym warunkiem zdrowia i szczęścia dziecka. Tylko dziecko chore, anemiczne, tej potrzeby nie odczuwa. Nie uwzględniano tego dawniej, kiedy ideałem dobrze wychowanego dziecka było spokojne siedzenie na jednem miejscu lub miarowy wolny spacer obok swojej wychowawczyni.

„Bardzo grzeczna dziewczynka“ — powiada bona: — „godzinami całemi siedzi na jednem miejscu, a biega tylko wtedy, gdy jej pozwolę.“

Dziś przyszliśmy do przekonania, że tamując ruch ciała, przeszkadzamy prawidłowemu rozwojowi umysłu.

Dziś widzimy, że popęd do ruchu należy raczej rozwijać, niż tamować. Zrozumiał to wielki znawca duszy dziecięcej — Froebel — wprowadzając tak zwane „zajęcia ruchowe.“ Zrozumieli to współcześni pedagogowie amerykańscy, urządzając w szkołach elementarnych półgodzinne wykłady i długie pauzy; zrozumieli wreszcie i u nas kierownicy młodzieży, dając dla niej poza godzinami szkolnemi dużo miejsca, dużo powietrza do swobodnej zabawy.

Przykładem tej dążności są place i parki dla dzieci np. w Warszawie ogrody im. Raua, w Galicyi parki Jordana

Potrzeba ruchu u dziecka objawia się w pierwszych miesiącach życia: niemowlę porusza stale rękami, nogami i głową, a płacze, gdy je skrępowano Usiłuje posuwać, podnosić przedmioty i cieszy się, gdy tego dokona.

Wkrótce nauczy się czołgać, potem

chodzić, skakać i biegać, a gdy już nabrało jakiej takiej zręczności, przychodzi okres największej ruchliwości: dziecko jednej chwili nie zostaje bezczynne, wprost zdaje się nie odczuwać potrzeby wypoczynku.

Lecz po pewnym czasie dziecku nie wystarcza ruszać się dla samej



J. Schmitzberger. **Żerowisko.**

przyjemności ruchu, ruch bezcelowy nudzić i nużyć je zaczyna, ono musi mieć cel jakiś: biegać, ażeby kogoś gonić i złapać, toczyć kule, ażeby trafić w kręgle, rzucić piłkę, ażeby schwycić, wdrapywać się, wchodzić w najniebezpieczniejsze miejsce, ażeby próbować swojej zręczności, popychać młodszych, słabszych, posuwać meble, dźwigać ciężary, przezwyciężać trudności, a potrzeba takiego ruchu celowego staje się w okresie lat 7—10 tak silną, że nie powstrzymują dziecka ani napomnienia starszych, ani zakaz wychowawców, a nawet groźba kary.

Popychane tą żądzą ruchu dzieci nie zawsze swoją energię zużywają we właściwym kierunku, nie zawsze jest ona skierowana do zamierzonego celu. A że siła i zręczność nieraz je zawodzą, więc wyrządzają jaknajwiększy nieporządek i mnóstwo szkód w otoczeniu domowem.

Nasuwa się teraz pytanie: jak ma się zachowywać wobec tego wychowawca?

Powinien podtrzymywać i rozwijać w swoich wychowankach wrodzony popęd do ruchu, ale i kierować nim w ten sposób, żeby dzieci mogły wyciągnąć jak największy pożytek; wystrzegać się także, ażeby owa potrzeba ruchu nie zamieniła się w wandalizm.

„Ruszaj się, baw, dokazuj, ile ci się podoba, bylebyś nie szkodził innym i sobie.“

Trzymając się tej zasady, musimy wyznaczyć dziecku miejsce i porę swobodnej zabawy.

Miejscem tem niech będzie osobny pokój lub jakaś część pokoju, kurytarz, podwórko, ogródek, w którymby dziecko mogło bez zastrzeżeń biegać, krzyczeć i dokazywać.

Lecz ponieważ nie każde dziecko potrafi w należyty sposób korzystać ze swobody, nie każde jest dostatecznie pomysłowe, ażeby umiało wyznaczony czas zapełnić, przeto pomoc wychowawcy bywa często niezbędną.

Dać pomysł dobrej zabawy, urządzić jakąś grę towarzyską, poprowadzić ją, dostarczyć materyału odpowiedniego, jak np. szczudeł, piłki, sznura, koła

itp., a dzieci będą się bawiły rozumnie i zgodnie.

Poza temi godzinami i miejscem możemy wymagać od dziecka, aby bez uszczerbku dla swego zdrowia, przystosowało się do warunków otoczenia.

Nie chcemy tu powiedzieć, ażeby dziecko przez resztę dnia nie miało sposobności zaspokajać swej potrzeby ruchu. Przeciwnie, możemy, uwzględniając tę potrzebę, zachęcać je do pomocy w zajęciach domowych, jak np. sprzątania, zamiatania, zmywania, czyszczenia swojego ubrania i obuwia, segregowania papierów w koszu, porządkowania biurka, półek, zabawek itp.

A dzieci lubią owe czynności i chętnie dopomagają starszym w pracy.

Ręce dziecka, gdy nie są spożytkowane w jakiej robocie, stają się narzędziem szkodliwym. Dziecko, mając ręce niezajęte, niszczy wszystko, co w nie wpadnie; dokucza, popycha, bije kolegów, a często nawet bezwiednie wyrządza wielkie krzywdy i szkody.

Dajmy rękom dzieci możność i cel poruszania się. Starajmy się, żeby dziecko było zajęte, dajmy mu do rąk zabawkę, ołówek, tabliczkę, papier, wióry, glinę, książeczkę, gałganki — stosowne do wieku i uzdolnienia, a te same ręce będą zajęte z korzyścią dla siebie, bo wyrobią zręczność, a także wpłyną na stronę moralną i umysłową.

Dziecko chętnie pracować będzie najpierw przez instynkt wrodzony, a później, żeby się nie nudzić.

W krótkim czasie przekona się, że rozwinąwszy w sobie pewną zręczność może usłużyć matce, rodzeństwu, koledze, bliźniemu, gdy potrafi sprzątnąć, zaszyć, naprawić, skleić, ozdobić, że robotą swoją może okazać przywiązanie i życzliwość; pozna że praca jest użyteczna.

Nie samo tylko ciało dziecka wymaga ćwiczenia: umysł jego żąda też czynu. Dziecko staje się niezmiernie ciekawem, chce wszystko wiedzieć, widzieć i rozumieć i ta ciekawość robi z niego nieraz małego okrutnika względem drobnych stworzeń i młodszego rodzeństwa.

Rola wychowawcy i tu jest bardzo ważna; umieć zająć umysł dziecka tem, co jest odpowiednie jego wiekowi, zapoznać z najbliższem otoczeniem, zaciekawić przyrodą, nauczyć badać itp.

I płuca dopominają się o swoje prawa. Dowodem tego jest krzyk dzieci i rozmowa bezustanna. Łatwo jest zadowolić ową potrzebę śpiewem.

Śpiewajmy z dziećmi dużo, a przekonają się, że krzyk ich wszystkim dokucza, piosenka zaś jest miłą.

W końcu wychowawca będzie miał sposobność zwrócić uwagę dziecka na to, że wszystko, co na świecie jest dobrego, pięknego i wielkiego, jest wynikiem pracy rąk lub myśli.

I to dziecko, które lubiło pracę, iż była użyteczną, polubi ją, że jest dobrą i przyjemną.

Jednocześnie wytworzy się w dziecku wrażliwość na pracę innych ludzi, nauczy się szanować pracę samą i tych ludzi, z których pracy korzystamy, i zrozumie, że próżniactwo jest występkiem względem siebie i społeczeństwa.

Marya Weryho.

Wiadomości.

Od p. posła dra Alfreda Chłapowskiego z Bonikowa otrzymujemy następujące pismo:

„Boników, 6. stycznia 1905.

Szanowną Redakcyą

uprzejmie upraszam o łaskawą a spieszną pomoc w przeprowadzeniu ankiety pocztowej na rok ubiegły.

Bardzo byłbym wdzięczny, gdyby Szanowna Redakcya zechciała zawezwać Czytelników w wiadomościach potocznych do przesłania na Jej ręce dowodów na szykany pocztowe, na nieusprawiedliwione przesyłki do bióra tłomaczeń, wynikłe ztąd opóźnienia, na opóźniony odbiór listów z poza kordonu etc.

Papiery te prosiłbym wysłać z Redakcyi pod moim adresem do Berlina NW. Reichstag i — o ile możności — dołączyć do nich te numera gazety, w których szykany pocztowe są opisane.

Przepraszając za ambaras pozostaję z prawdziwem poważaniem

Alfred Chłapowski."

Nie wątpimy, że Szanowni nasi Czytelnicy przychylą się do życzenia powyższego i dopomogą p. dr. A. Chłapowskiemu do przeprowadzenia dzieła, zasługującego ze wszech miar na uznanie.

— **Dobra rycerskie Studzieniec dolny i Studziniec górny oraz Studzienka i Nowyświat z przyległościami** pod Byczyną na Górnym Śląsku, kilka tysięcy mórg najpiękniejszej ziemi pszennej, z okazałym pałacem w obszernym starym parku, z wielką parową gorzelnią, młynem, cegielnią itd. dawniejsza rezydencya Nałęczów Herstopskich a obecnie od przeszło 150 lat w rękach niemieckich — przeszły mocą kupna na własność domu bankowego *Drwęski i Langner* w Poznaniu.

Dobra te będą rozparcelowane pomiędzy przyległych, wyłącznie polskich adjacentów.

— **Składkę** za rok 1904 nadesłały do kasy Kom. wyb. prow. powiaty: śremski, poznański-wschodni, czarnkowski, ostrowski (2 raty), mogileński, gnieźnieński, chodzieski, wągrowiecki, kępiński, pleszewski gostyński, szubiński, żniński, grodziski i śmigielski.

Poznań, dnia 6 stycznia 1905.

M. Więckowski, skarbnik Kom. wyb. prow. ulica Teatralna nr. 6.

— **Klub wioślarski**, pierwsze polskie towarzystwo tego rodzaju w Poznaniu, przygotowuje się skwapliwie na sezon wiosenny. Już stanął nader okazały, prawidłowo i wygodnie wybudowany szałas do czołen nad Wartą, w bardzo dogodnem miejscu, tuż za bramą Dębińską przy ul. Rzecznej nr. 5. Niemniej posiada Klub już jednę łódkę sportową, ofiarowaną mu przez jednego z znanych zaszczytnie w Poznaniu obywateli. Obecnie zarząd krząta się około zakupna innych potrzebnych czołen tak, iż z rozpoczęciem sezonu wszystkim wymaganiom zadość uczyni. Jakoż spodziewać się można, że młodzież licznie będzie się garnąć do sportu, którego pożyteczność Niemcy poznańscy uznali dawno, zakładając dwa „vereiny."

W końcu stycznia *Klub wioślarski* urządza *wieczór inauguracyjny* o charakterze artystyczno-humorystycznym. Chociaż tańce nie są w programie i płeć piękna nie weźmie w nim udziału, wieczór zapowiada się świetnie tak, iż niezawodnie stanowić będzie jedno z najprzyjemniejszych zebrań karnawałowych.

— **„Przemysłowiec"**, tygodnik zawodowy, wychodzący dla rzemieślników drugi rok, wzywa w noworocznym numerze do zapiwania tegoż pisma w następujących słowach:

„Przemysłowiec" nie jest wydawany na to, aby przynosił zyski swoim właścicielom, tylko na to, aby dawał zyski stanowi rzemieślniczemu, jest więc pismem założonem dla dobra rzemieślników.

Jaki jest obowiązek rzemieślników wobec „Przemysłowca?" Powinni go wszyscy czytać, powinni mu otworzyć wstęp do swoich domów, aby praca „Przemysłowca", praca zawodowego pisma polskiego nie szła na marne.

„Przemysłowiec", wytknąwszy sobie za cel oświatę rzemieślnika, taki ułożył dla siebie program działalności:

Podaje artykuły wstępne, rozumiane, które rozjaśniają różne sprawy, dotyczące ogółu naszych przemysłowców i nakłaniają czytelnika do zastanowienia się i do szukania środków w celu osiągnięcia pewnych korzyści.

Takie artykuły mają kształcić umysł i czynić go sposobniejszym do pracy w szerszym zawodzie publicznym.

Zaznajamia czytelników ze wszystkiem, co się dzieje za granicą, gdzie rzemiosło lepiej zorganizowane, starsze, doskonalsze, aby z pomysłów tamtejszych rzemieślników i ich kierowników, korzystali także nasi rzemieślnicy.

Takie artykuły mogą przynieść bezpośredni pożytek naszemu przemysłowi, dlatego polski organ zawodowy jest bardzo potrzebny, bo gazety polityczne nie mogą śledzić tak pilnie tego, co się w rzemiośle zagranicznem dzieje i uczynić to mogą tylko takie gazety, które specyalnie sprawą rzemieślniczą się zajmują.

„Przemysłowiec" podaje informacye o ustawodawstwie przemysłowem, wyroki sądowe, dotyczące rzemieślników, drukuje odnośne paragrafy ustaw, aby nasz rzemieślnik wiedział, jakie mu prawa przysługują i nie potrzebował w każdym wypadku udawać się o poradę i pomoc do

drugich i często nie narażał się niepotrzebnie na koszta i zmudę czasu.

Rzemieślnik wiedząc, że w danym wypadku ma prawo poza sobą, upomni się o nie, wiedząc, że się znajduje w niesłuszności, uniknie następstw prawowania się kosztownego.

Artykuły tego rodzaju podawać będzie „Przemysłowiec“ w większej mierze aniżeli dotychczas, jako też odnośne formularze podań w różnych sprawach, dotyczących rzemieślnika, aby mógł samodzielnie bez pomocy drugich załatwić wszystko sam własnoręcznie.

„Przemysłowiec“ podaje dla poszczególnych rzemiosł różne przepisy, recepty, wynalazki.

W roku bież. poda „Przemysłowiec“ informacye o poszczególnych zawodach, jakie są w nich obecnie widoki powodzenia, jaka jest nauka, ile kosztuje, i ile lat trwa, aby ojcowie lub opiekunowie mogli sobie rozważyć, gdzie w naukę syna oddać i jakiemu go poświęcić zawodowi.“

Powtórzyliśmy powyższy ustęp, ażeby między Czytelnikami naszymi rozszerzyć wiadomości o zadaniu „Przemysłowca“ i zachęcić rzemieślników do jaknajliczniejszego zaabonowania. „Przemysłowiec“ kosztuje na pocztach tylko 1 markę na kwartał.

— **„Poradnik dla Spółek“** w myśl powziętej na sejmiku uchwały zaczął znowu wychodzić. Na czele numeru znajdujemy następujące odezwanie się X. prałata Wawrzyniaka:

Wskutek ogólnego życzenia Spółek podejmuję ciąg dalszy wydawnictwa „Poradnika dla Spółek.“ — Czynię zaś to w tem przekonaniu, iż znajdę dostateczne zainteresowanie u Zarządów i Rad Nadzorczych naszych Spółek. Zainteresowanie to powinno się objawiać w nadsełaniu artykułów, — referatów z działalności poszczególnych Spółek — zapytań i wątpliwości, na które uzbierane przez szereg lat doświadczenie znajdzie mniej lub więcej trafne odpowiedzi i odpowiednie rady.

„Poradnik“ będzie tem, czem go Spółki mieć zechcą i czem go Spółki zrobią.

X. Wawrzyniak, patron.

— **Zawiązał się** w mieście naszem komitet pań, które pragną uczcić czcigodną nauczycielkę tylu młodych pokoleń, panią Estkowską, za jej długoletnią pracę. W tym celu ogłosił rzeczony komitet następującą odezwę:

Czterdzieści pięć lat ubiegło, jak najdawniejsza z kierowniczek zakładów naukowych dla panienek p. Antonina Estkowska pracuje na polu wychowania młodych pokoleń naszych. Żona pedagoga i wydawcy pism, umiłowała ideały nasze i z poświęceniem a zaparciem się siebie przez pół prawie wieku krzewi oświatę i wychowanki swoje wiedzie do pożytecznego spełnienia przyszłych obowiązków.

Pragniemy przeto uczcić ustępującą z pola pracowniczkę a Jej przykład uczciwej a zbożnej pracy utrwalić złożeniem funduszu, który Szanowna Przełożona przeznaczy na cel dobroczynny, przez Nią upatrzony. Wychowanki i uczennice pani Antoniny Estkowskiej wzywamy do poparcia zamiarów naszych. Pospieszmy ukochanej nauczycielce i przełożonej złożyć wyraz skromnego hołdu i niewygasłej wdzięczności.

Umieszczamy odezwę w pismach publicznych, gdyż miejsce pobytu bardzo wielu uczennic jest nam nieznane.

Jadwiga Adamska. Dr. Zofia Bednarska. Joanna Błażejewska. Dr. Helena Grodzka. Marya Grosmanówna. Marya Gruszczyńska. Stefania Jagielska. Wanda Kolanowska. Helena Kolska. Franciszka Laskowska. Dr. Aniela Laurentowska. Helena Leitgebrowa. Prof. Marya Łazarewiczowa. Marya Otyńska. Władysława Przyjemska. Marya Rzepecka. Zofia Starkowa. Stanisława Przybyłowska. Aniela Tułodziecka. Helena dr. Własłowska. Marya dr. Ulatowska.

— **Kurs korespondencyi przemysłowej.** Aby młodzieży przemysłowej dać sposobność nabycia wprawy w załatwianiu korespondencyi z dostawcami i odbiorcami, a nadto z władzami, urządzamy kurs korespondencyi.

Biorący w nim udział zapoznają się w sposób praktyczny z formą najrozmaitszych listów ściśle zawodowych, a więc przemysłowych, kupieckich i innych.

Nauka odbywać się będzie w każdy poniedziałek i czwartek od 8 do 10 wieczorem w lokalu przy Wrocławskiej ulicy nr. 35 na II piętrze.

Pierwsza lekcya odbyła się w poniedziałek 9-go b. m.

Opłata za cały kurs wynosi 3 mrk.

Składać ją należy na lekcyi przy zgłoszeniu się.

Poznań, w styczniu 1905.

Dyrekcya Tow. Przem. w Poznaniu.
J. Kużaj, prezes. *Cz. Leitgeber*, sekretarz.

— **Kurs rysunkowy.** Dla pokonania coraz silniej we znaki się dającej konkurencyi, winni nasi przemysłowcy starać się o udoskonalenie w naukach i zręcznościach, wspomagających techniczną wprawę zawodową. Mianowicie od biegłości w rysunkach zawisła pomyślność wielu działów rzemiosła. Niedostatki należy więc usunąć przez branie udziału w kursie rysunkowym, który Towarzystwo Przemysłowe w Poznaniu od lat wielu urządza. Po świątecznej przerwie rozpoczęła się nauka, uwzględniająca poszczególne zawody przemysłowe, we wtorek 10go b. m. i odbywać się będzie w każdy wtorek i piątek wieczorem od 8 do 10 w lokalu przy ul. Wrocławskiej pod nr. 35 na II piętrze, pod kierownictwem architekta.

Opłatę, wynoszącą do końca kursu 2 marki, przyjmować będzie od nowowstępujących na lekcyach nauczyciel rysunków.

Wiadomość o tem prosimy szerzyć po warsztatach i na zebraniach „Towarzystw.

Poznań, w styczniu 1905 r.

Dyrekcya Tow. Przem. w Poznaniu.
J. Kużaj, prezes. *Cz. Leitgeber*, sekretarz.

— **Opieszałość w pełnieniu obowiązków narodowych** jest wśród gospodarzy naszych niestety jeszcze bardzo wielka. Dość przypomnieć gospodarzy w Krzyszczewie, którzy mając większość, pozwolili przechrzcić swą wieś na „Kreuztal.“ Przykładów takich jest bez liku. Obecnie znowu piszą z Wudzyna pod Koronowem do „Gazety Grudz.“ co następuje:

„Cywilizuje się nasza wioska nieźle i po myśli naszych serdecznyeh raźno postępuje. Więcej jak dwudziestu gospodarzy Polaków zamieszkuje naszą gminę, a choć tylko trzech Niemców między sobą liczy, jednak obrano sołtysem Niemca. Między wami, panowie gospodarze, tacy się znajdują, którzy za młodych lat w gimnazyach naukę czerpali, więc nie braknie sił odpowiednich, ale lenistwo i wygoda nie pozwalają wam publiczne i małopłatne urzędy piastować. Jak mają się w „amtsprache rozmówić ci, którzy po niemiecku nie rozumieją?“

— **Chrzest orusi.** Wieś Gajtowo w powiecie inowrocławskim złączono z Przyłubiem niemieckiem w pow. bydgoskim w jednę gminę pod nazwą „Weichseltal.“ — Nazwę gminy Łobdowo w powiecie wąbrzeskim w Prusach Zach. przechrzcono na „Lobedow.“

— **W państwie bojaźni Bożej — i hakaty.** — W sądownictwie niemieckiem zaszedł wielki skandal, a mianowicie bardzo wysoki dygnitarz sądowy we Wrocławiu t. zw. dyrektor sądu krajowego Hasse — nawiasem mówiąc, jeden z najwybitniejszych hakatystów niemieckich — miał dopuścić się podwójnej zbrodni. Mianowicie przez dłuższy czas utrzymywał zakazany prawem stosunek z niejakim Lindnerem, subjektem kupieckim. Gdy potem Lindner zażądał od niego pieniędzy za milczenie, Hasse zapłacił mu przez szereg lat 30,000 marek, ale w końcu nie mógł płacić, gdyż był już zupełnie zrujnowany. Wówczas wezwał Hasse owego Lindnera, aby tenże się stawił w Berlinie i czekał na niego koło kościoła katolickiego św. Jadwigi. Lindner stawił się na schadzce, a wówczas Hasse strzelił do niego z rewolweru, poczem sam uciekł. Przez 2 dni błądził po Berlinie, wreszcie sam się oddał w ręce prokuratoryi, która wytoczyła mu natychmiast dochodzenie karne. Równocześnie zaś lekko rannego Lindnera aresztowano w Hamburgu.

— **Oborniki.** Gospodarz Ignacy Knowyński w Parkowie nabył gospodarstwo od Niemca p. Jana Ziegenhagena.

— **Kościan.** Pp. Romiński i Jezierski nabyli od p. Hierowskiego posiadłość z ślusarnią.

— **Międzychód.** Mistrz szewski p. Nowak sprzedał swój dom przy ul. Kościelnej 68 urzędnikowi pocztowemu Ludwigowi za 8,000 marek.

— **Miłosław.** Teatr amatorski na cel dobroczynny odbędzie się w mieście naszem w niedzielę, dnia 15 b. m., punktualnie o godzinie 7 i pół wieczorem na sali w Bazarze.

Odegrane będą następujące sztuki: I. „Dwaj roztargnieni“, krotochwila, II. „Skalbmierzanki“ czyli „Koniki zwierzynieckie“, komedyo-opera w 3 aktach przez Kamińskiego.

Po przedstawieniu skromna zabawa. O liczny udział, choćby tylko ze względu na cel dobroczynny uprasza

Dyrekcya

— **Znin.** Na kościół w Żninie złożyli w dalszym ciągu pp.: N. N. z Gorzyc, M. Erman z Jarcszewa, M. Jarmuż z Juńcewa, A. Włódarek z Skarbienic po 2 marki, W. Stanek z Rzeszyna zebrane na pogrzebie M. Stanka w Młynach 8 m., F. Synoradzki z Gaju p. Strzelno, J. Konieczny z Retkowa, K. Słupecka z Jaroszewa, M. Piotrowska z Grand Rapids w Półn. Ameryce po 3 m., M. Goc z Sarbinowa, W. Marcinkowski z Gajewa p. Wąbrzeźno, X. dziekan Poturalski z Winnejgóry, N. N. z Wolwarku, F. Kościelecka ze Żnina po 5 m., M. Stempniewicz z Ostrzeszowa 10 m., X.

Dubski z Połajewa od X. Y. 29 m. 80 fen., N. N. z Czempinia 20 m.

„Bóg zapłać!" Dziękuję za już, a proszę o jeszcze.

X. Władysław Jasiński,
adminisrator.

Nekrologia.

† Ś. p. **Michał Rogala Paruszewski**, dnia 8-go b. m. w Mogilnie. Pogrzeb odbył się Chomiąży dnia 12-go b. m.

† Ś. p. **z Winnickich Marya Sampławska**, dnia 2-gb b. m. w Chełmnie.

† Ś. p. **Franciszka Kozłowska z domu Dembińska**, dnia 3-go b. m. w Grudziądzu.

† Ś. p. **Cecylia Bagniewska**, dnia 4-go b. m. w Grudziądzu w 66 roku życia.

† Ś. p. **Edward Chylewski**, dnia 2-go b. m. w 24 roku życia w Starogardzie. Pogrzeb odbył się dnia 5-go b. m. w Jarocinie.

† S. p. **Zofia Grynwald**, dnia 3-go b. m. w Wągrówcu. Pogrzeb odbył się dnia 7-go b. m. w Gnieźnie.

† Ś. p. **Gabryel Skorzewski**, student politechniki Stuttgardzkiej, dnia 3-go b. m.

† Ś. p. **Andrzej Kowalski**, z Raszkowa w Poznańskiem, w Sodingen w Westfalii, licząc 64 lata.

† Ś. p. **Józef Gierłowski** właściciel apteki pod „Białym Orłem" w Poznaniu, dnia 6-go b. m., przeżywszy lat 56.

† Ś. p. **Leokadya z Kozińskich Korczak-Michalska**, dnia 5-go b. m. w Poznaniu w 77 roku życia.

Wiadomości literackie i artystyczne.

— **„Miesięcznika dla popierania ruchu wstrzemięźliwości"** (wychodzącego w Pleszewie (Pleschen Prov. Posen) pod redakcyą ks. K. Niesiołowskiego) numer styczniowy zawiera: Zarys historyczny walki z alkoholizmem w Ameryce i Anglii. — W obronie przyszłych pokoleń. — Gorzałka w przesądach leczniczych ludu naszego. — Konsumpcya alkoholu w Krakowie. — Rozmaitości. — Kronika miesięczna.

Ruch w Towarzystwach.

— **Dolsk.** Tutejsze Koło śpiewackie urządza w niedzielę d. 15go b. m. na sali p. Grześkowiaka teatr amatorski. Odegrane będą następujące sztuki: a) „Posażna jedynaczka", b) „Nowy Rok."

O liczny udział gości tak z miasta jak też z okolicy uprasza

Zarząd.

— **Berlin**. Szanownym Rodakom zamieszkałym w obrębie prowincyi saskiej oznajmia się, iż w niedzielę *15 stycznia b. r. po południu o godz. 3 odbędzie się w Magdeburgu na sali Eiskeller Halberstädterstr. Nr. 112 (Sudenburg) posiedzenie delegatów* celem utworzenia okręgu saskiego.

Niniejszem zaprasza się także wszelkie Tow. pol. kat. do Związku Tow. polsko-kat. Robotników w Niemczech jeszcze nie należące, aby na posiedzenie to swych delegatów wysłać raczyły.

W imieniu Zarządu Związku
Teodor Błoch.
Berlin O. Strassmanstr 7.

Od Redakcyi.

Panu St. G. w miejscu. — W tej sprawie poinformuje Szan. Pana p. Wiktor Gładysz w Poznaniu, przy ulicy Murnej nr. 3.

Abonentowi z Poznania. — Udaj się Szan. Pan w tej sprawie do p. Teodora Langego w Poznaniu, przy ulicy Berlińskiej 5, z powołaniem się na „Pracę".

Panu J. J. stud. iur w J. — Z oferty Szan. Pana korzystać nie możemy.

Zarządowi Tow. Robotników Polskich w Gostyniu. — Notatkę o zeszłoniedzielnym teatrze amatorskim otrzymaliśmy za późno już po wydrukowaniu numeru na dzień 8-go b. m., zatem nie mogliśmy zamieścić.

Panu Waleryanowi Rosicowi w Poznaniu. — Z powodu nawału materyału nie mogliśmy zamieścić.

Stałemu Czytelnikowi „Pracy." — Obie formy są ortograficzne; w tym przypadku wydrukowaliśmy tak, jak autor napisał w rękopisie.

Panu Jakubowi Swiątkowskiemu w Bydgoszczy — Obrazów takich nie posiadamy. Nabyć Szan. Pan może w Poznaniu w Księgarni Katolickiej.

Panu M. R. w Zgorzelicach. — Życzeniu Pana uczynimy zadość w jednym z najbliższych numerów. — Ks. Herbert Bismark nie miał syna.

Panu L. G. w Pniewach. — Ilustracyi albumowych z dawniejszych roczników „Pracy" nie posiadamy.

Panu Władysławowi Motyce w Amiens (Francya). — Gdybyś tu Szan. Pan przyjął jakiebądź obowiązki toby Pana Prusacy wyć alili jako obcokrajowca, więc „szkoda czasu i atłasu." Za najszczersze życzenia dziękujemy serdecznie.

Czytelniczce „Pracy" E. F. w Poznaniu. — Wierszyk p. t. „Smutek dziewczyny" nadaje się do albumu kochanka" a nie do „Pracy!"

— *Panu Stanisławowi Pieniężnemu w Castropie (Westfalia.)* — Adres jest taki: Ks. proboszcz Józef Kościelski w Poznaniu, św. Wojciech. — Zapiszcie sobie Panowie wychodzący rok drugi w Pleszewie pod redakcyą ks. K. Niesiołowskiego „Miesięcznik dla popierania ruchu wstrzemięźliwości." Za życzenia dziękujemy serdecznie.

Humorystyka.

Ciężka choroba.

Pani Idalja mocno słaba!
Pani Idalja jest cierpiąca,
Więc po doktora, co tchu stanie,
Na jednej nodze dmie służąca.

Przybiegł eskulap... — „Konsyljarzu!
Rzecze do niego mąż strapiony,
Ach wysil proszę wiedzę swoją
I ratuj życie mojej żony“.

Siadł stary praktyk... długo bada
Powód okropnej tej choroby:
„Ciężka, bo ciężka (tak powiada)
Ale i na nią są sposoby“.

„Doktorze! błagam! zapisz leki,
(Mąż woła) trwogę moją przetnij!“

Rp.

Futerko, suknia balowa,
Bo pora karnawałowa.

Mały rezoner.

— Po całych dniach nic nie robisz, tylko włóczysz się z kąta w kąt! Co z ciebie będzie, bąku jeden?

— Bo ja wiem! Może drugi tatko...

U rzeźnika.

— Czem mogę służyć?

— Ja tam nie chcę nijakiej służby, jeno kiełbasy?

„Słowo to wiatr.“

„Słowo to wiatr“ — mówi stare przysłowie. Oj, gdyby to była prawda — powiadał pewien gospodarz, który miał bardzo gadatliwą żonę — to moja kobieta obracałaby wszystkie wiatraki na świecie.

Czas, byśmy zmądrzeli.

Że też nigdy nam nie zbrakną
Takie ananasy,
Co Polakom przysparzają
I chluby i krasy.

Że też nigdy nam nie braknie
Ten i ów dobrodziej,
Co *dla siebie* za rybami
W mętnej wodzie chodzi.

I gdzie tu przyczyna leży?
Oj pono w tem pono,
Że lubimy, by nas wiecznie
Za nosy wodzono.

I gdzie leży ta przyczyna?
Oj, w tem prawda szczera,
Że się damy wziąć na kawał
Przez lada *blagiera.*

A że się tak każdy wyśpi,
Jak sobie pościeli,
Czas ogromny, czas nareszcie,
Czas, byśmy — zmądrzeli!

SWATOSTWO.

Żeń się. — Czy ja szalony! — czy mnie źle w tym stanie?
— Chciałbym cię jednak swatać. — Zachowaj mnie Panie.
— Lecz posłuchaj, możeć się spodoba.
— O właśnie!
— Rok piętnasty. — Tem gorzej.
— Dowcip. — Baśnie, baśnie!
— Roztropna. — To dziwaczka. — Piękna. — Zalotnica.
— Z wielkiego domu. — Dumna.
— Czuła — Zazdrośnica.
— Ma talenta. — Eh! porzuć! zamysłu nie zmienię.
— Sto tysięcy w posagu. — Co? tak? No, to się żenię.

I tak źle i tak niedobrze.

Płakała raz baba, lamentując wciąż, że ją kijem pierze za byle co mąż.

Teraz znowu płacze, że mąż przestał żyć, i że nie ma komu dziś ją kijem bić.

Bal na ubogich.

Spieszył na bal ubogich jakiś panicz [modny,
Zastąpił mu żebraczek i nagi i głodny.
Nie przykrz się, rzecze panicz, widzę, [żeś w potrzebie,
I dlatego też idę — tańcować dla ciebie.

Podzielone zdania.

Cztery młode kobiety z żywością tak rozmawiały o małżeństwie:

— Czegóż trzeba? — spytała się jedna — ażeby mąż był zawsze dobrym?

— Pieniędzy, pieniędzy i jeszcze pieniędzy.

— Miłości, miłości i jeszcze miłości — rzekła druga.

— Młodości, zawsze świeżej młodości, nieśmiertelnej młodości — zawołała trzecia.

— A mnie się zdaje — rzekła czwarta — że trzeba cierpliwości, cierpliwości i nieustannej cierpliwości.

Wybór żony.

Sławetny Bartosz gdzieś tam w małem [mieście,
W średnim już wieku i na pół siwawy,
Lecz jeszcze czerstwy i żwawy,
Chciał się ożenić nareszcie.
Miał on swój domek na rynku,
Kawał roli, sklep do szynku,
Przytem grosz obfity,
Więc na męża wyśmienity.
Szukał małżonki, a że, jak to bywa,
Nigdy na takim towarze nie zbywa,
W bliskości siebie, bez łamania głowy.
Wynalazł sobie dwie wdowy.

Jedna z nich była młoda, czuła, rzewna,
Druga dojrzalsza, lecz na żonę pewna.
Trudny więc wybór i wielkie kłopoty...
Gdy nasze wdówki z przymiloną minką,
Ciągle się niby z żartu i pustoty,
Bawiły jego czupryną.
Młodsza go chciała mieć młodszym, [nadobnym,
A starsza więcej do siebie podobnym,
Wciąż mu więc z głowy włos po włosie [rwały,
Jedna czarny, druga biały.
Aż go nakoniec ten żart tak zeszpecił,
Że głupią głową jakby dynią swiecił.
Ho! ho! tak z gniewnym ozwie się za- [pałem,
Jeszczem bez żony, a już wyłysiałem,
Cóż będzie gdy się ożenię?
Nie, nie bądź dudkiem Bartoszu,
Bądźcie mi zdrowe, kłaniam uniżenie
Baby zostawił na koszu.

Na Basię.

Że kobieta z kości swój początek bierze
Mocno temu wierzę;
Bo i Basia swoją złością,
Stanęła mi w gardle kością.

Firmy polskie na prowincyi polecają się względom Sz. Czytelników.

Bnin.

W. Flens, (Hotel) towary kolonialne, cygary, tytunie i t. d.

Buk.

Miecz. Szczodrowski, drogerya.

Czempiń.

Fr. Ploszyński obok apteki drogerya, handel farb i tow. kolonialnych.

Gniezno.

Materyały na suknie, płótna białe i kolor., firanki, bieliznę. trykotaże, rękawiczki, pończochy, chustki, miechy, płachty żniwowe etc. poleca **Leon Żychliński,** Farna 18

Gostyń.

Z. Janaszewski. Warsztat wyrobów ślusarskich — Skład kół i maszyn do szycia

Zakład ślusarski **B. Urbanowicza** wykonuje drzwi żelazne, ogrodzenia parków, kraty grobowe i krzyże. Okuwa drzwi, okna i bramy i t. d.

Jarocin.

„Drogerya pod Kotwicą" **W. Chylewski,** poleca towary drog., apteczne, kolon. spec.: farby, pokosty, lakiery, mydła i perfumy w wielkim wyborze.

Jaraczewo.

Franciszek Flieger, Handel kolonialny, szkła, żelaza. smoły, papy i cementu. Towary bławatne i krótkie.

Kępno.

L. Małuszek w rynku. Skład bławatów, płócien, bielizny, stołowizny, firan, dywanów, konfekcyi damskiej i męzkiej i sukna.

Kościan.

Hipolit Brzeziński, rynek, towary korzenne, łakocie, specyalny skład win.

F. CZAPLICKI, handel żelaza i artykułów budowlanych.

„Import" (Fr. Stein), hurtowny i detaliczny skład cygar, papierosów i tytuni.

Koźmin.

Teofil Pilarczyk (dawniej Lissowski) hotel i restauracya; tow. kolonialne, cygara wina, i destylacya.

Centralna Drogerya **K. Suwaliński** Towary drogeryjne i kolon., farby, lakiery, perfumy i td.

Maryan Kołaski Skład sukna, materyałów na suknie, jedwabi. płócien, stołowizny, bielizny, firan, kobiercy, towarów modnych, białych i krótkich.

Kobylin.

J. Gajowczyk. Pracownia garderoby męzkiej podług miary, oraz jedyny polski skład sukna, bielizny, kapeluszy. Wielki wybór ubiorów gotowych dla dzieci i dorosłych. — Ceny najtańsze.

Kostrzyn.

Michał Woźny poleca skład bławatów, płócien, materyi na suknie, bieliznę, chustek, stołowiznę, trykotarzy, kapeluszy i gotowej garderoby męzkiej w wielkim wyborze. Ceny stałe.

Kórnik.

L. Ellmann, Hotel Viktoria skład win, araków, rumów, koniaków i cygar.

A. Ruczyński, budowniczy.

„Skład ludowy" właśc. T. Szulc, poleca wszelkie tow. łokciowe po cenach jaknajniższych i ściśle stałych. Sprzedaż li tylko za gotówkę.

Aleksander Metelski, skład maszyn i narz. roln., warsztat rep., kuźnia i *skład pojazdów, bryczek oraz wozów roboczych.*

Stanisław Metelski, skład garn. męz., tow. łok. i krótkich. Wielki zapas mat. na ubiory łok. po nader nizkich cenach. Ubrania na miarę podług najnowszych żurnali.

Krzywiń.

Drogerya pod Aniołem **J. Dobrowolski,** ul. Kościelna. Oliwy i smarowidła. Artyk. apteczne drog. toalet. i domowe. Skład win i cygar. Farby, lakiery, pędzle i szczotki. Proszek dla świń.

Lessno.

Pomorski & Karczewski właść.: Józef Pomorski, skład bław., płócien, konfekcyi itd.

Drogerya Merkur. **H. Sieradzon,** poleca towary drog, i apteczne specyalnie farby, pokosty i lakiery.

„Orłow" A. Zakowski. Fabryka papierosów, tytoniu, kartonaży i gilz.

Miejska Górka.

A. Wybieralski. Hotel. — Handel żelaza długiego i krótkiego, artykuł. budowl. i tow. kolonialnych.

Mosina.

Stanisław Michałowski Zakład malarski artystyczno-dekoracyjny. Wykonuje wszelkie restauracye jako też nowe budowy, kościoły, sceny teatralne itp. Specyalność: pejsaże. Kosztorysy i szkice bezpłatnie.

Oborniki.

E. Speichert obok apteki hurtowny i detaliczny skład towarów **drogeryjnych i farb.**

Ostrów.

J. Kopecki, Ostrów, ul. Koszarowa 20 i Osiek (Netzthal. Własna fabryka wszelkich pomp i specyalny interes kopania i wiercenia studzien na wielką skalę; dostarczania wody na każdem miejscu.

Ostrów.

Drogerya pod złotym jeleniem **F. Anczykowski dawn. T. Mazur,** rynek 21, telef n 67, poleca farby, lakiery, pędzle, karbolineum, smarowidło na osi, oliwy do machin itd. Hurt. i detalicznie.

J. Obecny, przy starej aptece. Skład bławatów, bielizny i konfekcyi damskiej.

W. Woziwodzki, skład bławatów, sukna płócien, bielizny damskiej i męzkiej. — Konfekcya damska.

Stanisław Lulkiewicz (dawniej H. Śmiełowski) **Ostrów,** ul. Raszkowska 10. Zakład siodlarsko-lakierniczy wykonuje wybijanie i lakierowanie wszelkich powozów, również reparacye szybko. akuratnie i tanio. Poleca szory do wyjazdu i robocze.

Plessew.

Drogerya **F. Kurowski.** Skład chemikaliów, parfumeryi. — Nawozy sztuczne wszelkiego rodzaju.

Przement.

Ig. Ptak. Drogerya „Fortuna", handel farb i tow. kolon. Towary żelazne, krótkie i art budowl.

Rawicz.

„Globus" (I. Mrówczyński) Szklarnia budowlana i artystyczna. Specyalność: okna wystawne. Oprawa i skład obrazów. Skład luster, dewocyonalii i mat. pism.

Poznański Dom towarowy **Adama Ratajewskiego** poleca bławaty, płótna. bieliznę, konfekcyą itd. Ceny tanie, lecz stałe.

J. Mroczkowski. Skład tow. kolonialnych, delikatesów, herbaty, araków, wódek i cygar. **Handel win.** Drogerya: farby, lakiery, perfumy smarowidła na osie, oliwy do machin etc.

Śmigiel.

J. Abt jr. Handel żelaza i wszelkich artykułów budowlanych.

M. Stachowiak. Skład towarów drogeryjnych, kolonialnych oraz przyborów fotograficznych.

J. Karpiński. Pracownia gard. męzkiej, skład sukna, bielizny i innych artykułów, gotowej gard. dla dorosłych i dzieci.

Środa.

Fr. Grzelachowski, mistrz garncarski, wykonuje wszelkie prace garncarskie. Skład kafli i wszelkich przyborów do pieców.

Jan Woźny, największy skład bławatów w doborowych gatunkach. Pracownia eleganckiej garderoby męz. Stałe ceny.

Maryan T. Zieliński, skład wina, cygar, zboża i sztucz. naw. Interes spedycyjny. — Hotel i restauracya

Śrem.

Bank Parcel. E G.m.b.H kupuje i sprzedaje majątki przyjm. depozyta każd. ilości

B. Rychlewski, zegarm. Skład zegarów ściennych i kieszonkowych, optycznych przedmiotów, wszelkiej bizuteryi Ceny stałe

Szamotuły.

M. Szydlarski towary łokciowe, materye na suknie, bieliz., kapelusze itd

Tomasz Walczyk handel tow. kol., zboża, mąki nasion. Wymiana wszelkiego zboża na kaszę lub mąkę

Antoni Schwarz. Zakład dentystyczny. Praktykuje od roku 1894. Sztuczne zęby, plomby złote, srebrne itd., leczenie chorych zębów, wszelką operacyą wykonuje bez bólu. Ceny przystępne.

J. Zwierzyński, drogerya — winiarnia. Skład kolon., delikatesów, cygar.

Strzałkowo.

Największy dom towarowy **W. Ziarniaka** poleca materye wełniane i na suknie, płótna, towary krótkie, garderobę męzką w najnowszych fasonach gotową i podług miary. Równocześnie polecam darte gęsie pierze po 2,50 i 3,00 marki za funt.

Senftenberg.

Wojciech Klimczak. Skład cygar, papierosów i tytuni. Hurtownie i detalicznie.

Trzemeszno.

B. Siuda, handel tow. kolonialnych, destylacya skład cygar, win, tabaki i restaur. Rodacy popierajcie rodaka.

Wągrówiec.

W. Łukowski, skład cygar, papierosów i tytoni, sprzedaż hurt i detal.

Wielichowo.

L. Wilczak. Skład kolonialny i delikatesów.

Wronki.

J. Giałczewski, skład bławatów, płócien i towarów krótkich.

J. Stryczyński obok apteki, hurtowny i detaliczny skład towarów drogeryjnych i fabryka wody selterskiej.

Września.

Centralna Drogerya H. Bąkowska napr. poczty poleca wszelkie artykuły **gospodarcze i domowe. Farby, lakiery, pokosty. Artykuły fotograficzne.**

Edw. Kubale mistrz blach pokrywa dachy cynkiem, koprowiną, papą podwójną. Wykonuje dachy holcementowe i nowuje dachy uszkodzone.

Wolsztyn.

Drogerya pod gwiazdą I. Kowalski. Skład towarów drogeryjnych, smarowideł, farb, lakierów i pędzli.

„Bazar" (Józef Łukomski) Handel żelaza, materyałów budowlanych, oraz maszyn i narzędzi rolniczych. Telefon nr. 20.

Zaniemyśl.

Stanisław Preiss. Pracownia pojazdów i lakiernia, gotowe pojazdy, bryczki itp. Fabryca ogrodzeń, nagrobków i żelaza kutego.

Miejsce wolne do dalszych ogłoszeń.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

Nieznajoma.

2) *Powieść z angielskiego — tłomaczył P. A.*

(Ciąg dalszy.)

Na drugi dzień rano spotkali się obydwaj lekarze na ulicy. Przywitali się bardzo uprzejmie i Grell zapewniał swego kolegę, że z największą przyjemnością zastępował go u pani Carell, którą mu prawie zupełnie już zdrową teraz pod opiekę oddaje.

— Wyrządziłbyś mi pan wielką przysługę — odrzekł Canington — gdybyś chciał się zajmować nią jeszcze do dziś wieczora lub do jutra rana. Z powodu wypadku, jaki mi się wczoraj zdarzył i z powodu kilku chorych, których koniecznie odwiedzić muszę, mam tyle do czynienia, że nie wiem, od czego najpierw zacząć. Zanim panią... panią... jakże się nazywa..

— Carell!

— Ah tak! Zanim więc panią Carell z rąk pana przejmę, chciałbym się z panem porozumieć co do dalszego leczenia jej, ale dziś doprawdy nie mam na to czasu. Wczoraj poszedłem wprawdzie do niej, bo w Piątek przyniesiono mi jej list, było jednak już późno i wydawała mi się zmęczoną i śpiącą. Byłem więc u niej kilka minut tylko. Czy mogę pana prosić o to, abyśmy się dziś wieczorem lub jutro rano spotkali u niej?

— Owszem, służę panu chętnie każdej chwili.

— Więc dziś o siódmej. Gdybym jednak nie przyszedł, to miej mnie pan za wytłumaczonego—w takim razie prosiłbym pana jutro, o dziesiątej. Może jednak przyjdę dziś. Zdaje mi się, że pani.. pani..

— Carell.

— Tak, pani Carell, że ona bardzo jeszcze jest młodą.

— Mówiła mi, że ma dwadzieścia i dwa lat, ale ja liczyłem ją najwyżej na dwadzieścia. Jakiż to nieszczęśliwy wypadek zdarzył się panu wczoraj? Już mi dziś o tem powiadano!

— Sam nie wiem, jak się to stało. Przypuszczam, że koń mój przestraszył się czegoś, ale nie pojmuję, czego. Mój stangret i służący są zdrowi, koń tylko odniósł lekkie rany, które wnet się zgoją.

— W mieście rozgłoszono, że się wszyscy pozabijali na miejscu, stangret, służący i koń. Canington rozśmiał się i obydwaj koledzy pożegnali się serdecznym uściskiem dłoni.

— — — — — — — — — — — —

Z uderzeniem siódmej udał się doktor Stefan Grell do pani Carell, aby tam zaczekać na Caningtona.

Twarz pacyentki bardzo była czerwona, a oczy błyszczały gorączkowo.

— Chora za wiele znowu rozmawiała, — rzekł Grell do Idy, siedzącej w saloniku.

— Tak, pani Carell dużo mówi, ale to nic dziwnego, przecież ona zupełnie zdrowa.

— Przeciwnie zdrową jeszcze nie jest i może sobie zaszkodzić. Gdzie Poterowa?

— Poszła do kuchni.

Grell zadzwonił i Poterowa zadyszana wpadła do pokoju.

— Pozwoliłaś pani chorej za wiele rozmawiać, — zawołał surowo.

— Ona mnie słuchać nie chce! Ale takiej młodej, zdrowej kobiecie nie zaszkodzi byle drobnostka.

— W każdym razie ja na to pozwolić nie mogę i czynię panią odpowiedzialną za wszystko. Żądam też stanowczo, aby moje przepisy były sumiennie wykonane. Widzę, że będę musiał przysłać jej dziś te same uspokajające krople, jakie już wczoraj wzięła.

Doktor Grell czekał dłużej niż pół godziny na Caningtona, potem odszedł. Ida, którą zęby jeszcze więcej boleć zaczęły, udała się także do domu, przy chorej zaś została Poterowa sama.

— Gdzie Ida?—zawołała nagle pani Carell.

— Nie wolno pani mówić ani słowa, — odpowiedziała Poterowa. — Pan doktor Grell bardzo się na mnie gniewał, że pozwoliłam pani tak dużo rozmawiać.

Chora rozśmiała się głośno i przyrzekła uroczyście poprawę.

— A teraz połóż się pani i śpij, — prosiła Poterowa.

O ósmej, gdy Poterowa poszła na kolacyą, przybył Canington, żałując bardzo, że już nie zastał doktora Grella. I zaledwie zaczął z chorą rozmawiać, dał się słyszeć szelest na schodach.

— Może to Grell, — rzekł idąc ku drzwiom.

Ale zamiast Grella ujrzał wchodzącą Poterową z małą buteleczką w ręku.

— Co tam pani przynosisz? — zapytał.

— Krople dla pani Carell, które doktor Grell zapisał. Pan Józef Grell, aptekarz, przysyła je właśnie.

— Jakież to krople?

— Na uspokojenie nerwów. Mówił, że chora za wiele dziś rozmawiała, i że zanadto była rozdrażnioną.

Canington wziął buteleczkę, rozwinął papier, wyciągnął korek i powąchał lekarstwo.

— Jak też to mocno pachnie gorzkiemi migdałami, — zauważył.

— Nie może być!

— Czy pani tego nie czujesz?—rzekł, podając jej buteleczkę.

— Ja..... ja..... mam katar, nie czuję nic, doprawdy...... — odpowiedziała Poterowa, nieco zmieszana.

Canington powąchnął lekarstwo raz jeszcze, nalał kropelkę na palec i dotknął jej lekko językiem.

— Dziwna rzecz — szepnął. — Po co jej Grell to zapisał? Weź pani te krople i odstaw je. Krótko przed zaśnięciem daj pani Carell przepisaną dozę.....

Po tych słowach przeszedł do sypialnego pokoju, Poterowa zaś postawiła buteleczkę na stoliku, na którym już rozmaite inne stały lekarstwa i wsunąwszy głowę przez wpół otwarte drzwi do sypialni, zapytała, czy jeszcze tu dziś będzie potrzebną.

— Nie, chwilowo dziękuję, — odrzekła pani Carell.

Canington rozmawiał z pacyentką, Poterowa poszła więc do kuchni i wkrótce potem oddalił się też i doktor. Gdy wyszedł do sieni, zdawało mu się, że w blizkości drzwi sypialni widzi twarz jakiegoś mężczyzny o czarnej, krótkiej brodzie, twarz srogą i groźną....

Twarz ta wyglądała tak dziwnie, że Canington, zwykle bardzo odważny i śmiały, zadrżał przerażony.....

— Kto pan jesteś? Czego tu chcesz? — zawołał głośno.

Ale żadnej na to nie otrzymał odpowiedzi, głęboka cisza panowała w całym domu. Nie będąc pewnym, czy światło księżyca nie wywołało jakiego złudzenia, wrócił czemprędzej do saloniku po świecę, i przejrzał całą sień i schody.

Wszelkie poszukiwania jednak okazały się daremnemi, nigdzie nie znalazł obcego mężczyzny.

Następnie, zawsze jeszcze z zapaloną świecą w ręku, wrócił do saloniku.

— Co się stało?—zapytała pani Carell zdumiona.

— Nic, zgoła nic—odrzekł spokojnie—muszę świecę postawić na kominku w salonie...

I postawiwszy ją na miejscu z którego ją wziął, wyjął z kieszeni chustkę, aby obetrzeć zimny pot, spływający mu z czoła.

— Moja wyobraźnia łudzi mnie—myślał, drżąc jak we febrze.—To było jakieś przywidzenie. Co mi się dziś stało, że zdaję się widzieć duchy!

Zanim dziesiąta wybiła, przeszedł przez dom pani Gold anioł śmierci i zabrał z sobą duszę pani Carell. Piękna ta i młoda kobieta umarła zupełnie niespodziewanie, pod bardzo dziwnemi warunkami, a śmierć jej pociągła za sobą nieprzyjemne zawikłania dla wszystkich, którzy z nią jakąkolwiek tutaj mieli styczność

ROZDZIAŁ IV.

Ale opowiedzmy najpierw, co się działo przed pierwszą wizytą doktora Canigtona w mieszkaniu pani Carell.

Stary, trzęsący się omnibus jechał znowu przez ulice miasteczka, aby zdążyć na pociąg, odchodzący do Londynu o siódmej. Jedyną podróżną była pani Brown z dwoma zawiniątkami, w jednem leżał synek chorej pani Carell, w drugiem jego bielizna.

Pani Brown myślała już, że nie przeżyje tej okropnej jazdy, tak trząsł omnibus po nierównym bruku. Ale na szczęście nie był dworzec zanadto oddalonym i nareszcie stanęła u celu.

Do odejścia pociągu było jeszcze dwadzieścia minut czasu za pięć minut zaś miał przybyć pociąg z Londynu.

Pani Brown zabrała obydwa swoje tłomoczki i poszła do poczekalni pierwszej klasy, a zaraz potem nadjechał kurjer z Londynu. Kilka osób wysiadło, a że wszyscy mieszkali w mieście, przeto rozeszli się czemprędzej do swych domów. Pociąg popędził dalej, i znów cisza zapanowała na dworcu. Po chwili otworzono drzwi i doktor Canington wszedł do poczekalni.

Był to młody jeszcze, mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna, bardzo przystojny o wysokiej, zręcznej postaci, jasnych włosach, niebieskich oczach i twarzy, odznaczającej się pięknemi, niezmiernie regularnemi rysami. Wytworne ruchy i kosztowne ubranie zdradzały na pierwszy zaraz rzut oka człowieka przyzwyczajonego do życia w wielkim świecie.

Ujrzawszy panią Brown, ukłonił się, poszedł do przeciwległych drzwi i spojrzał na zajazd.

— Panię Tallor—rzekł do jednego z przechodzących urzędników kolejowych—nie wiesz, czy mój służący jest tu już z powozem?

— Nie, panie doktorze, jeszcze go nie widziałem.

Canington cofnął się do sali.

Pani Brown wstała, zauważyła bowiem, że kasa już była otwartą i położywszy ostrożnie dziecko w róg kanapy, wyszła. Ciche kwilenie niemowlęcia zwróciło uwagę doktora.

— Na Boga—szepnął, zbliżając się szybko do kanapy —wszakże to dziecko!

I wyciągnąwszy rękę dotknął twarzy chłopczyka, a ponieważ za ciemno już było, aby mógł rozpoznać maleńką istotę, wyjął z kieszeni zapałki i przy ich świetle spojrzał uważnie na płaczące dziecko.

W tejże chwili wróciła pani Brown.

— Biedny robaczku, — rzekła, — teraz obudziłeś się, a w tym nędznym omnibusie spałeś tak smacznie. Pójdź mały, musimy się spieszyć, bo za pięć minut odchodzi nasz pociąg!

— Zdawało mi się, że to czary, gdy nagle z tego zawiniątka usłyszałem głos dziecka. Dla tego zapaliłem zapałkę, aby zobaczyć, czy to doprawdy dziecko, czy królik, — zawołał Canington.

— Więcej też to biedactwo do królika niż do dziecka podobne, — odpowiedziała pani Brown niechętnie.

— Ale takie maleństwo powinno leżeć w kołysce, a nie jeździć koleją! Mówię to pani, jako lekarz.

— Nie wątpię o tem, konieczność jednak zmusza nas nieraz do czynienia tego, czegobyśmy uczynić nie chcieli.

— Kiedy się to dziecko urodziło?

— Wczoraj rano. Matka jego przyjechała tu przedwczoraj i......

— Do Londynu! Wsiadać, — rozległy się wołania konduktorów.

Pani Brown zabrała obydwa zawiniątka i wyszła na peron, Canington zaś udał się w przeciwną stronę, zdawało mu się bowiem, że słyszy turkot zajeżdżającego powozu.

I nie mylił się. Lekki, elegancki faeton zbliżał się ku dworcowi, na koźle, obok stangreta siedział służący, obydwaj w ładnej, ciemnej liberyi.

— Czemu nie wyjechałeś wcześniej z domu? — zawołał Canington ostro.

— Ach, ja sam nie wiem, czemu się spóźniłem, — odrzekł stangret pokornie.

— Dlaczego latarnie nie są zapalone?

— Myślałem, że nie trzeba, bo księżyc tak jasno świecił, niebo zachmurzyło się teraz dopiero.

Canington wsiadł do faetonu i koń ruszył. Ale zaledwie ujechali kilkadziesiąt kroków, gdy koń rzucił się gwałtownie w bok, upadł, i powóz przewrócił się. Doktor służący i stangret zostali wyrzuceni na ziemię.

Wszystko to było dziełem kilku sekund. Canington pierwszy podniósł się. Czuł on wielki ból w prawej nodze, nie złamał jednak żadnej kości, i wyszedł zupełnie cało z tej przygody. Dlaczego koń się tak przestraszył, tego dotąd jeszcze nie wiedział, usiłował też podnieść drżące z strachu zwierze, ale na to mu sił nie starczyło.

— Andrzeju! Franciszku! — zawołał.

Żadnej jednak na to nie otrzymał odpowiedzi, stangret i służący leżeli nieprzytomni na drodze.

— Pomocy! — krzyknął teraz Canington głośno. — Nie ma tu kogo, ktoby mi chciał pomódz?

— A co się tam stało? — zawołała w tejże chwili z za płota ogrodu po drugiej stronie jakaś kobieta.

Księżyc wypłynął teraz właśnie z za chmury i oświecał jasno całą szosę.

— Nie macie męża albo syna? — zapytał Canington. — Potrzebuję silnych rąk do pomocy.

— Jestem samą, mój mąż ma febrę i leży w łóżku. Ach, — dodała przestraszona, — tam leży koń, a tam — o Boże! dwóch nieżywych ludzi!

— Mam nadzieję, że żyją, ale muszę mieć kogoś, ktoby mi pomógł podnieść ich, moje siły nie starczą a nie mogę ich tu przecież tak bez wszelkiego ratunku zostawić.

Wieśniaczka przeszła przez płot, i zbliżyła się do konia.

— Nic mu się nie stało, — rzekła po chwili. — Ale niektóre konie tak są uparte, że nie chcą się podnieść same. Dlaczego on upadł właściwie?

— Tego sam nie wiem..... jest to bardzo spokojne zwierze..... Nie umiem sobie wytłumaczyć, jakim sposobem.....

— Nie lubię takich zagadkowych wypadków, — odrzekła kobieta zamyślona, — są to zawsze zwiastuny nieszczęścia. Zobaczysz pan!

Potem pochyliła się nad stangretem i nad służącym, którzy leżeli zawsze jeszcze bez znaku życia.

— Nieszczęście już się stało, — zauważył Canington sucho.

— O nie; ono przyjdzie dopiero! Strzeż się pan, aby cię w następnych dniach lub godzinach nie spotkało coś złego.

— Nie wiem, coby mi mogło grozić, — rozśmiał się Canington.

— Nie można nigdy wiedzieć, co nas czeka i z jakiej strony złe przyjdzie. Może pan odbywasz podróż, w takim razie wracaj czemprędzej do domu, albo wybierz inną drogę. Dokąd pan właściwie jedziesz?

— Do New-Wyndham.

— To nie jedź pan tam, i wracaj, zkąd wyjechałeś.

— Moja pani, ja mieszkam w Wyndham, — zawołał Canington zniecierpliwiony, — ale nie chodzi teraz o to, czy nieszczęście na mnie czeka, tylko o to, gdzie znajdę pomoc dla moich ludzi i dla mego konia. Moglibyście mi przynieść trochę wody?

— Owszem, mam nadzieję, że memu mężowi nic się nie stanie, chociaż go na chwilę zostawię samego.

— Kto go leczy?

— Nie posłałam jeszcze po doktora. My biedni wieśniacy nie możemy sobie na ten zbytek pozwalać.

— No w takim razie zaproponuję wam następujący układ: ja zajmę się waszym mężem, a wy pomożecie mi ratować moich ludzi.

— To pan jesteś doktorem?

— Tak! Idźcie do New-Wyndham, do hotelistki pod Złotym Lwem, i powiedzcie jej, aby mi przysłała nóż i kilku silnych mężczyzn. Wymieńcie jej moje nazwisko: doktor Canington.

Kobieta pobiegła czemprędzej do miasta i po upływie trzech kwadransy, wróciła z upragnioną pomocą. Canington tymczasem zdołał podnieść konia, który wcale bardzo rannym nie był, ale Andrzej i Franciszek leżeli zawsze jeszcze nieprzytomni. Wieśniaczce powiedział Canington, że mąż jej ma istotnie febrę i że nazajutrz rano ma przyjść po lekarstwo dla niego.

Wjazd doktora do miasteczka wywołał ogólne wraże-

nie. Konia zaprowadzono do stajni, weterynarz znalazł się też zaraz, Andrzejem zaś i Franciszkiem zajął się doktor sam z największą troskliwością. Stangret odzyskał wnet przytomność, zemdlenie jego wynikało więcej z przestrachu niż z bólu, służący zaś potłukł się trochę ale i on żadnego większego nie doznał uszkodzenia.

Po opatrzeniu obydwóch udał się Canington do swego pokoju i zawołał chłopca posługującego w domu i w stajni.

— Przyniesiono tu jakie listy w czasie mej nieobecności?—zapytał.

— Nie, listów nie oddano mi żadnych, a pacjenci, którzy tu przyszli, odeszli zaraz, gdy się dowiedzieli, że pan doktor wyjechał. Pan kapitan Clary prosił wczoraj abyś pan go odwiedził i dziś rano był tu już jego murzyn. Kapitan jest znowu chory i gdybyś pan tam dziś nie poszedł, posłałby natychmiast po doktora Grella!

— Niech pośle sobie po czarta—krzyknął Canington rozgniewany.—Czy to już wszystko?

— Tak!

Doktor wziął kapelusz i udał się do Cedrowego Dworu, to jest do mieszkania kapitana Clary, który od kwartału mniej więcej sprowadził się tu z okolicy Plymouth.

Kapitan miał trzy córki, Mirę, Emilię i Annę, różniące się bardzo wiekiem i usposobieniem.

On sam, cierpiący niezmiernie na podagrę, był gwałtownego charakteru i unosił się czasem tak, że wszyscy drżeli ze strachu.

Canington przypadkowi zawdzięczał poznanie tego nie bardzo miłego pacjenta. Gdy kapitan zaraz po przybyciu do New-Wyndham zachorował, posłał swego służącego, murzyna Cezara, po doktora, a że Canington najbliżej mieszkał, przeto do niego się też Cezary udał.

Skoro Canington przyszedł teraz do Cedrowego Dworu, spojrzał najpierw na okna mieszkalnego pokoju, ale tam ciemno było zupełnie. Natomiast z sypialni kapitana jasne na ulicę padało światło.

Kapitan leżał w łóżku. Canington potrafił mu w poprzednim ataku znaczną przynieść ulgę, to też chory z niecierpliwością oczekiwał doktora, ale niecierpliwość swoją objawiał nieustannie wybuchami gniewu na całe swoje otoczenie.

Młody lekarz spokojnie wysłuchał wymówek pacjenta, że go tak długo nie odwiedził.

— Nie mogłem inaczej postąpić—rzekł w końcu—telegram mego ojca powołał mnie bezzwłocznie do Londynu, wszakże doniosłem panu o tem listownie.

— O nie, ku mej największej radości polepszyło się znacznie jego zdrowie, obawiam się jednak bardzo, że dawna choroba wróci niezadługo.

— Czy ojciec pana jest biedny?

— Przeciwnie, posiada on bardzo znaczny majątek, a ja jestem jedynakiem...

— Myślę, że będziesz mi pan musiał zapisać nowe lekarstwo.

Te słowa przywołały doktorowi na myśl jego obowiązek względem chorego. Wyjął więc natychmiast z kieszeni buteleczkę z jakimś płynem i natarł napuchłe nogi. Po kilku minutach pożegnał kapitana.

Zaledwie wyszedł do sieni, otworzyły się drzwi jadalnego pokoju, i młoda, bardzo piękna dziewczyna, stanęła na progu. Ciemne jej oczy patrzały z miłością na doktora, a biała jej twarz gorącym pokryła się rumieńcem.

— Emiljo—szepnął Canington drżącym z radosnego wzruszenia głosem—jaka niespodzianka! Sądziłem, że wyszłaś na miasto.

— Mira i Aneta wyszły, ja zostałam przy papie. Kiedy wróciłeś?

— Dziś wieczorem!

Jeszcze jeden gorący uścisk ręki i Canington zniknął, Cezary bowiem ukazał się w sieni, Emilja zaś z ciężkiem westchnieniem wróciła do pokoju ojca.

Księżyc jaśniał teraz w całej swej świetności na ciemnem niebie. Canington zamyślony patrzał na niego, a cała jego przeszłość stanęła mu żywo w pamięci.

Matka umarła wcześnie, a on wychowywał się właśnie sam. Ojciec, trochę lekkomyślny, nie wiele się troszczył o niego, to też postępowanie jego niezawsze było nienagannem i w końcu doszło do tego, że ojciec i syn nie chcieli mieszkać razem pod jednym dachem. Lotar osiedlił się jako lekarz w New-Wyndham i wcale się z ojcem nie widywał. Ale najnowsze wypadki zmieniły nieco postać rzeczy.

Ciężka choroba usposobiła łagodniej ojca, wezwał więc syna do siebie i pokazał mu testament, w którym mianował go jedynym spadkobiercą bardzo znacznego majątku. Duszę Lotara napełniła pewność wielkiego szczęścia, widział się teraz blizkim wymarzonego celu, to jest zaślubienia Emilji Clary. Mógł jej ofiarować dostatki, uszczęśliwić ją i zdobyć szczęście dla siebie!

Gdy wrócił do domu, usiadł do kolacji, ale zanim zaczął jeść, wyjął z kieszeni kilka listów i przeglądał uważnie jeden po drugim.

— O, ten muszę schować—rzekł kładąc jeden z listów napowrót w kopertę, resztę spalę! Ale teraz zjem najpierw kolację!

Zaledwie jednak włożył pierwszy kęs chleba w usta, gdy Willi, chłopiec do posługi, wbiegł szybko do pokoju z listem jakimś w ręku.

— Cóż tam znowu?—zawołał Canington niechętnie.

— Wybacz pan—odrzekł chłopiec nieśmiało—zapomniałem oddać ten list. Przyniesiono go w Piątek wieczorem—położyłem go w salonie na szafce i zupełnie o nim zapomniałem.

Canington odłożył nóż i widelec, otworzył list i przeczytał go szybko.

— Kto go tu przyniósł?—zapytał po chwili.

— Jakaś kobieta, której nie znam.

Doktor przeczytał list po raz drugi wolniej i uważniej, potem wstał, zabrał rozrzucone na stole listy, odsunął ten, który chciał schować, na stronę i rzucił wszystkie razem w ogień, na kominek.

— List ojca schowam—pomyślał—gdybym go nie miał, jako dowodu, to ojciec gdy wyzdrowieje, mógłby w danym razie zaprzeczyć, że go pisał.

Po starannem włożeniu dokumentu do żelaznej szafy, wrócił doktor znowu do jadalnego pokoju i zaczął szukać listu, który mu Willi przed chwilą przyniósł. Ale ani na stole ani w kieszeniach nie mógł go znaleść.

— Pewnie go razem z innymi spaliłem—rzekł sobie w duszy.

Tyle tylko pamiętał, że wzywano go na ulicę Pałacową, pod numer 13.

Zjadł więc szybko kolację i poszedł do chorej, którą była pani—Carell.

ROZDZIAŁ V.

Wdowa Gold odprowadziła właśnie Caningtona do drzwi siennych i wracała spiesznie do kuchni na gawędkę z Poterową i na kieliszek likieru, ulubionego napoju Poterowej, która pomimo zakazu Grella nie mogła się wyrzec trunku.

Głośne pukanie do okna przestraszyło niezmiernie obie kobiety, pomimo, że wiedziały, że tylko Ida oznajmuje w ten sposób swoje przybycie.

Była to rzeczywiście Ida, śmiejąca się serdecznie na widok przerażonych twarzy swoich starych przyjaciółek.

— Jak można się tak dziecinnie śmiać — zawołała wdowa Gold rozgniewana.

Ida spoważniała natychmiast.

— Zęby bolą mnie zawsze jeszcze—rzekła po chwili—ale zanim pójdę spać, chciałabym zajrzeć do pani Carell. Przecież ona nie śpi jeszcze?

— Nie, bo doktor Canington był właśnie u niej.

— Ida weszła cicho do sypialni chorej.

— Czy to ty Ido?—zawołała pani Carell.

— Tak!

— Jakże z twemi zębami?

— Lepiej. Chciałam tylko zapytać, czy pani nie potrzebujesz czego?

— Nie, dziękuję ci. Powiedz pani Poter, że chciałabym zjeść teraz mój kleik. Tobie będzie lepiej, gdy się położysz, dwie noce przesiedziałaś przy mnie, nigdy ci tego, moje dziecko, nie zapomnę.

— Przecież to nic wielkiego.

— Doktor Canington mówi, że jestem zdrowa, i ja też czuję się tak silną, że pragnęłabym wstać jutro.

Po chwili przyszła Poterowa z zupą i lampą, które światło padło w całej pełni na spuchłą twarz Idy.

Pani Carell rozśmiała się głośno.

— Wybacz moja droga—zawołała—ale nie mogę się wstrzymać od śmiechu! Twoja twarz wygląda, jak księżyc.

— Ach, to nic nie szkodzi, byleby ból ustał. Opuchlina zejdzie wnet sama—odrzekła Ida, wychodząc z pokoju. — Dobranoc pani.

Poterowa została przy łóżku i patrzała, z jakim apetytem jadła chora zupę.

— A teraz krople—rzekła pani Carell.

— Zaraz po jedzeniu nie mogę ich dać.

— Nic mi to nie zaszkodzi! Jutro o dziesiątej przyjdą tu obydwaj lekarze, poczem doktor Canington będzie mnie sam leczył.

Pani Gold przygotowała posłanie dla Poterowej, która zawsze w pokoju chorej spała, i otworzyła drzwi do saloniku.

Około wpół do jedenastej przyszła Poterowa z oznajmieniem, że teraz czas zażyć krople.

— Poświeć mi pani—rzekła do gospodyni — muszę przynieść buteleczkę.

I obiedwie poszły do saloniku.

Buteleczka stała na stole, na którym dotąd stała— Poterowa wzięła ją więc, nalała oznaczoną ilość kropli do kieliszka i zaniosła je chorej.

Pani Carell wypiła lekarstwo.

— Jak to dziwnie pachnie—zauważyła pani Gold.

— Doktor Canington też to mówił—odrzekła Poterowa.

W tej samej chwili rozległ się przerażający krzyk w sypialni—krzyk śmiertelnej trwogi.

Cóż się stało z chorą? Czy zemdlała, czy kurcze ją napadły, czy też zbliżyła się śmierć? Czy Bóg sam powoływał ją do siebie, czy też stała się ofiarą okropnej omyłki lub — zbrodni?

Ludzie, przyzwyczajeni do widoku śmierci, poznawają ją natychmiast. Poterowa z rozpaczą załamała ręce.

— To śmierć! — krzyknęła. — Nieszczęśliwa umarła! W kroplach musiała być trucizna, a my obie może będziemy oskarżone o otrucie jej. Wytoczą nam proces, skarżą na rusztowanie.....

Z dzikim okrzykiem przerażenia, jak nieprzytomna, wypadła wdowa Gold na ulicę, aby biedz po doktora Grella, ale zanim zdążyła do jego domu, spotkała Caningtona.

Nie mogąc wymówić słowa, schwyciła go za rękę i pociągła za sobą.

— Czego pani chcesz odemnie? — zawołał szorstko, odpychając ją.

— Ona..... umarła.... — jękła biedna, — leży zimna i martwa..... w łóżku..... ach.....

— Kto umarł?

— Ta obca .... pani Carell!

Doktor odepchnął ją teraz gwałtownie, pobiegł jak strzała do jej domu, i zniknął w otwartych drzwiach. Pani Gold jak szalona pędziła za nim, a gdy ujrzała w tejże chwili nadchodzącego pastora Liskowa, rzuciła się ku niemu, uczepiła się jego ramienia, i wymawiając jakieś niezrozumiałe słowa, ciągnęła go, jak poprzednio doktora, ku swemu domowi.

Pastor zdumiony szedł za nią.

W pokoju pani Carell stała Poterowa przy łóżku, doktor zaś, odrzuciwszy kołdrę, przyłożył ucho do serca zmarłej. Potem dotknął ręką stygnącego czoła.

— To jest okropne, — rzekł, podnosząc głowę. — Przed godziną zupełnie była zdrową!

— Czy ona umarła? — zapytał pastor.

— Tak, — zapewnił doktor. — Co pani jej dałaś? — dodał ostro, zwracając się nagle do Poterowej.

— Najpierw kleiku owsianego, — odrzekła kobieta drżącym głosem, - a potem dwadzieścia przepisanych kropli!

— Ach, te krople, — szepnął Canington cicho, tak jednak, że pastor go słyszał, — jakże byłem nieostrożny, że nie zabrałem ich z sobą!

— Więc ta pani została otrutą? — zawołał pastor.

— Tak jest!

Canington pochylił się nad umarłą i zbliżył twarz do jej ust.

— Przekonaj się pan sam, proszę, mówił dalej do pastora, — uczyń tak jak ja.

Liskow pochylił się również, ale czemprędzej cofnął głowę.

— To kwas pruski, — zawołał przerażony.

— Tak!

Przez chwilę straszne zapanowało milczenie.

— Więc co jadła chora? — odezwał się nareszcie doktor. — Kleik owsiany, potem wzięła krople? Ale po zupie, nieprawdaż?

— Tak, tu stoi jeszcze talerz....

Canington obejrzał talerz i skosztował cokolwiek zupy, pozostałej na nim.

— Tu nie ma trucizny, rzekł.

— Pół godziny później dałam jej krople, — mówiła Poterowa dalej. Zaledwie je wypiła, krzyknęła okropnie i umarła! Nie zapomnę mego przerażenia póki żyć będę!

— Ach, ja też nie, — przywtórzyła płacząc, pani Gold.

— Gdzie jest buteleczka? — zapytał doktor.

— Gdzie..... gdzież ją postawiłam? Ach, na stoliku, podam ją zaraz.....

Canington wziął zamkniętą flaszeczkę, wyjął korek, powąchał i podał pastorowi.

— Od kogo są te krople? — zapytał pastor, ale równocześnie przeczytał na etykiecie nazwisko aptekarza, Józefa Grella, brata doktora Stefana Grella.

Canington postawił krople znowu na stoliku i poprosił wdowy Gold, aby poszła po doktora Grella. Przerażona kobieta była bardzo zadowoloną z tego, że mogła wyjść z pokoju, w którym leżała zmarła. Przechodząc koło apteki ujrzała stojącego jeszcze przed domem aptekarza i zbliżyła się natychmiast do niego.

— O panie Grell—zawołała—to mnie zabije! To mnie zabije!

— Co panią zabije? — rozśmiał się aptekarz.

— Gdzie brat pana, gdzie doktor Grell? Ach Boże, Boże—biadała wdowa—krople, które jej dziś zapisał, a które pan przygotowałeś, stały się powodem całego tego nieszczęścia!

— Jakiego nieszczęścia?

— Jej śmierci!

— Czyjej śmierci? Jakie krople? O kim pani mówisz?

— O tej pani, która u mnie mieszkała, i którą leczył doktor Grell. Krople, jakie jej zapisał, musiały zawierać truciznę, umarła bowiem bezpośrednio po zażyciu ich. Mówię o pani Carell—dodała spostrzegłszy, że aptekarz widocznie nie rozumie, o co chodzi.

— Umarła!

— Tak, umarła na miejscu! Doktor Canington kazał mi iść po brata pana. Pastor Liskow jest także u nas.

Aptekarz wszedł do domu i spotkał w sieni swego bratanka Edwarda.

— Jest ojciec na górze? — zapytał.

— Nie, nie wiem, dokąd papa poszedł i kiedy wróci— odrzekł młodzieniec.

— Czy ojciec w swej i prowizora nieobecności przygotował sam lekarstwo dla pani Carell?

— Tak, stałem przytem i patrzałem na to, były to krople na sen i papa posłał je natychmiast chorej. Co się z niemi stało?

— One zabiły chorą—krzyknęła pani Gold.—Zawierały kwas pruski, jak mówi doktor Canington i pastor Liskow.

— Głupstwo—zawołał Edward.

— Głupstwo?—oburzyła się wdowa Gold. — Otóż wcale nie, bo pani Carell umarła.

Edward spojrzał na stryja jak gdyby żądał od niego potwierdzenia tych słów.

— Pójdę tam zaraz—rzekł aptekarz—a skoro ojciec wróci, powiedz mu, aby tam też natychmiast przyszedł.

W tej chwili ukazał się prowizor i Edward opowiedział mu szybko, co się stało.

— Ależ to być nie może—zawołał prowizor Wilt,— doktor Grell mówił mi dziś jeszcze, jak dobrze miewa się jego pacjentka. Kto panu opowiadał tę bajkę?

— Pani Gold, biegła właśnie po mego ojca. Stryj Józef poszedł z nią i papa ma tam też iść. Powiesz pan to papie?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tajemnica księcia.

Powieść z francuzkiego

23) tłomaczył S. P.

(Ciąg dalszy.)

Na bulwarze Belleville wysiadł, a zapłaciwszy woźnicy poszedł dalej pieszo, z założonemi na plecach rękami, jak skromny mieszczanin, przechadzający się po obiedzie.

— Jest pan Gaston Lapierre w domu?—zapytał odźwiernego.

— Nie, pan Lapierre wyszedł.

— Szkoda. Myślisz pan, że on wróci wkrótce?

— Nie wiem, pan Lapierre nigdy mi tego nie mówi.

— A matka jego, w domu?

— O tak, wiem, że nie wyszła!

— Myślisz pan, że zastanę ją samą?

— Zapewne! Robotnice odeszły już dawno!

— Jeżeli tak, to pójdę do niej, wszakże mieszka na czwartem piętrze!

— Na piątem, drzwi naprzeciw schodów, a zresztą przybita jest mosiężna blaszka z nazwiskiem, nie możesz pan się zatem omylić.

— Dziękuję bardzo!

Clermont wbiegł spiesznie na schody, zadzwonił u drzwi żony raz i drugi i potem dopiero usłyszał z pokoju cichy, łagodny głos:

— Kto tam?

— Telegram, — odrzekł Clermont głosem zupełnie zmienionym.

Drzwi otworzyły się natychmiast, a zanim przerażona kobieta miała czas oprzytomnieć i wzbronić mu wstępu, odepchnął ją gwałtownie, wszedł, i zamknął za sobą drzwi na klucz.

Teraz poznała dopiero męża i chciała wołać o pomoc. Ale on schwycił silnie jej ramię i szepnął groźnie:

— Ani słowa! Bo pożałujesz tego!

Pani Lapierre usiłowała się wyrwać, lecz daremnie. Trzymał ją mocno jak w kleszczach i wołał nieustannie:

— Milcz! Ani słowa! Jeżeli zawołasz o pomoc, to....

Ruch, jaki przy tych słowach zrobił ,był tak wyraźny, że pani Lapierre zbladła z przerażenia.

— On mnie zamorduje, — pomyślała.

— Widzę, że mnie zrozumiałaś, cieszy mnie to bardzo, — dodał szyderczo. — A teraz uważaj — i nie przerywaj mi — nie jestem dziś dobrze usposobiony i mógłbym.....

Nie kończąc, wziął świecę z jej ręki, popchnął ją w kurytarz i wszedł do szwalni. Potem stanął przed drżącą z strachu kobietą, popatrzał jej badawczo w oczy i bardzo był z tego badania zadowolony. Oczy pani Lapierre miały wyraźne ślady łez, i to go właśnie tak ucieszyło.

— Dobrze, —pomyślał, —wie coś, chociaż może nie wszystko, ale czegoś przecież się dowiem! Słuchaj — zawołał szorstko — żądam abyś mi odpowiedziała na następujące pytania: gdzie jest książę Chandors, gdzie jest księżna Chandors, i gdzie jest księżniczka Chandors?

Nieszczęśliwa kobieta zadrżała, ale twarz jej nie wyrażała żadnego zdumienia co nie uszło uwagi przebiegłego złoczyńcy.

Podniosła głowę, spojrzała mu śmiało w oczy i rzekła stanowczo:

— Ja nie wiem!

— Moja droga, nie kłam! Ostrzegam cię raz jeszcze..... spieszno mi....

— Nie mogę ci dać żadnych wskazówek pod tym względem!

— Zobaczymy, — zawołał, a chwytając znowu jej ręce, szepnął ochrypłym głosem: —Heleno miałem zawsze przeczucie, że umrzesz z mej ręki.....

— Spodziewałam się tego-

— Ty i Gaston!

— Potworze!

— Bez komplementów — teraz nie czas na to.

Po tych słowach zapanowało okropne milczenie w pustej szwalni. Pani Lapierre, śmiertelnie blada, patrzała jednak nieustraszona na męża, którego palce zaciskały się coraz silniej około jej rąk. Czuła gwałtowny ból, ale nie wymówiła ani słowa.

— Odpowiesz? — krzyknął.

— Męczysz mnie, — jękła, blizka zemdlenia.

— Wyznaj co wiesz, bo widzę, że domyślasz się o co mi chodzi! Książe i księżna zniknęli tak samo i narzeczona Gastona. Nie wiesz nic o tem?

— Ja....... ja wiem że opuścili pałac.

Męczarnia, jakiej doznawała, doszła do najwyższego stopnia.

— Powiedz, gdzie oni się znajdują?

— Nie wiem! Puszczaj mnie nędzniku, bo zawołam o pomoc!

— Jeżeli zawołasz kogo wydasz mnie w ręce kata. Rozważ to, nie ze względu na mnie, ale na siebie i na twego syna!

Pani Lapierre upadła na kolana, pot kroplami spływał po jej twarzy i członki drgały kurczowo. Zdawało jej się, że umrze.

— Powiedz mi wszystko, co wiesz, — szeptał Clermont z groźnie błyszczącemi oczami — bo inaczej zginiesz tu natychmiast.

I jeszcze mocniej ścisnął ręce nieszczęśliwej.

— Morderco.....

— Jeszcze jedno słowo!

Pani Lapierre myślała o Gastonie i postanowiła raczej umrzeć, niż wydać go na hańbę wołaniem na pomoc i zdradzeniem nędznika, który był jego ojcem.

— Gdzie książe Chandors? — powtórzył Clermont

— Powiedziałam ci już, że nie wiem, a chociażbym wiedziała, wolałabym raczej umrzeć, niż ci to powiedzieć

— Dlaczego?

— Bo Gaston nie życzy sobie, abyś o tem wiedział.

Clermont poznał, że żona jego mówi prawdę. Puścił więc jej ręce i posunął jej nawet fotel, na który na wpół żywa upadła.

— Heleno, — zaczął teraz, usiłując panować nad sobą, — ty i syn twój pożałujecie gorzko waszego uporu Carajo! Stajecie więc po stronie moich wrogów? Powinniście przecież wiedzieć, w jaki sposób umiem sobie dać radę z podobnemi przeszkodami! Chciałem szczęścia Gastona, chciałem mu dopomódz w zaślubieniu jego ukochanej Stelli! Ale obecnie — w tej chwili — grozi mi niebezpieczeństwo — chodzi o moją głowę! To jednak nie ulega wątpliwości, że razem z moją głową spadnie głowa księcia, a potem możecie się cieszyć waszą wspólną hańbą, ty, Gaston i Stella...... Mógłbym to może wszystko naprawić, a ty, ty nie chcesz mi pomódz i stawiasz przeszkody twoim uporem!

— Ale Gaston nie chce tego!

— Carajo! Więc utrzymujesz, że nic nie wiesz, niech i tak będzie, ale Gaston wie w każdym razie to, o co mi chodzi. Zaczekam na niego i zmuszę go do mówienia, możesz być o tem przekonaną.

Pani Lapierre zadrżała.

Niczego więcej na świecie nie obawiała się tak, jak spotkania ojca i syna i pragnęła za jaką bądź cenę zapobiedz temu.

Ale ona rzeczywiście nie wiedziała o tem, gdzie się książe Chandors znajduje.

— Słuchaj — rzekła cicho—chociaż jesteś okrutnym, złym i występnym, nie wierzę jednak, że czynisz źle tylko dla miłości złego, tylko z upodobania do występku. Możesz mi wierzyć, jeżeli ci mówię, że Gaston równie jak ja nic więcej nie wie o odjeździe księcia, niepotrzebnie zatem chcesz na niego czekać. Zrób ze mną co chcesz, zabij mnie, umrę chętnie, jeżeli krwią moją będę mogła okupić szczęście i spokój Gastona, odbierz mi życie, jeżeli śmierć moja może zaspokoić twe pragnienie krwi, ale daj pokój memu synowi! Uciekaj, jeżeli niebezpieczeństwo ci grozi, a zostaw jemu życie nędzne, jakie z twej przyczyny wieść musi i poszanowanie, na jakie sobie u ludzi zasłużył.

Clermont pogardliwie wzruszył ramionami. Jej prośby, żale i poświęcenie nie były dla niego niczem więcej, jak czczemi frazesami i nie zmieniały wcale jego zamiarów. Chęć przelania krwi zbudziła się w nim z gwałtowną potęgą, powstrzymywała go od tego jedynie tylko myśl, że dojdzie jednak może do celu, jeżeli zobaczy Gastona.

Był też najmocniej przekonany o tem, że Stella napisała do narzeczonego — i że doniosła mu o miejscu swego pobytu, a ponieważ ani groźbą, ani przemocą niczego się

od żony dowiedzieć nie mógł, postanowił czekać na powrot Gastona.

W tej samej chwili usłyszeli w kurytarzu głos dzwonka. Pani Lapierre zbladła jeszcze więcej i zerwała się z krzesła.

— Kto to być może! — zawołała. — Nikt cię tu spotkać nie powinien—nikt nie powinien cię widzieć w mojem mieszkaniu!

Clermont drżał także ze strachu i stał jak skamieniały.

Teraz zadzwoniono po raz drugi.

— Czy to Gaston?—szepnął.

— Nie, Gaston nie dzwoni, on ma klucz...

— Kogo się spodziewasz?

— Nikogo! Nie śmiem otworzyć!

— Musisz! Odźwierny wie, że jestem u ciebie, mogłoby to wzbudzić podejrzenie!

— Ależ....

— Do czarta z twojem ale. Rób co ci każę!

I pociągnął ją przemocą ku drzwiom.

— Zapytaj teraz, kto tam jest.

— Proszę pani, na Boga, otwórz mi — odezwał się za drzwiami dźwięczny głos kobiecy.

Clermont zadrżał—był to bowiem głos—Janiny.

Wygrałem! Wygrałem!— szeptał uradowany, a wyciągając z kieszeni nóż, rzekł do żony:

— Stanę tu za drzwiami, a ty otwórz, i milcz. Jeżeli chociaż jednem słowem zdradzisz moją obecność, biada jej i tobie. Rozumiesz?

Cofnął się szybko tak, że otwierające się drzwi zasłoniły go zupełnie przed wchodzącą.

Pani Lapierre, ledwie żywa, otworzyła drzwi — znała ona swego męża i nie wątpiła ani na chwilę, że wykona swą groźbę, jeżeli nie wypełni jego woli.

Do pokoju weszła teraz Janina. Była ubrana zupełnie czarno, i gęsta woalka zasłaniała jej twarz.

— Co widzę! Księżna! — zawołała pani Lapierre niezmiernie zdziwiona i już chciała dodać: uciekaj! uciekaj! on tu jest!—Ale spojrzała na błyszczący nóż i umilkła.

— Tak, mam z panią do pomówienia—odrzekła Janina—prosząc o kilka chwil cierpliwości. Nie przeszkadzam pani?

— Nie, nie!

— Jesteś pani samą?

— O, tak!—szepnęła nieszczęśliwa, starając się stanąć tak, aby więcej jeszcze zasłonić nędznika przyciśniętego do ściany, z nożem w ręku.

Potem przeszły obie do szwalni, a Clermont przysunął się zaraz do drzwi, aby podsłuchiwać ich rozmowę.

ROZDZIAŁ VII.

Gdy Cuchillo miał zdać żonie swej całe wyznanie winy, weszła Stella niepostrzeżenie do salonu i stanęła przy drzwiach tak, że nikt jej nie widział.

Spotkanie zaś Marity z Janiną miało daleko tragiczniejszy koniec, niż się tego namiętna kreolka spodziewała, i niż tego sobie życzyła.

Cuchillo kochał Janinę całą duszą, a miłość ta, pożycie z tą szlachetną i czystą istotą, wywarło na nim wpływ jak najkorzystniejszy, nawróciło go zwolna ku dobremu i obudziło w nim lepsze uczucia, spoczywające w głębi duszy. Uczucia te nie wyginęły zupełnie, nawet podczas pobytu jego pomiędzy złoczyńcami i pół dzikimi ludźmi w pampas południowej Ameryki.

Cuchillo nie był złym i w młodości swej nie był wcale zepsutym; w późniejszych jednak latach dostał się w towarzystwo, które umiało obudzić w nim złe instynkta, a gdy człowiek mający namiętny lecz słaby charakter, popełni jeden występek, to przy drugim już się wcale nie namyśla.

Gdy pokochał Janinę, zmienił się zupełnie. Zapragnął poprawy i dążył do wyższych celów, a dowiedziawszy się od umierającego księcia, że był bratobójcą, uczuł serdeczny żal i skruchę i poznał, jak występną drogą szedł dotąd. Rozpacz i zwątpienie o możliwości powrotu z tej drogi, ogarnęły całą jego istotę i uczyniły najnieszczęśliwszym z ludzi i tylko miłość dla Janiny powstrzymywała go w zakończeniu swego życia, pełnego kłamstwa i występku.

Przeświadczenie, że każdem słowem i każdym czynem oszukuje ukochaną kobietę, myśl, że Janina nie kocha właściwie jego, tylko człowieka, którego zabił i któremu ukradł tytuł, imię i majątek, i że odwróciłaby się z wstrętem i pogardą, gdyby go poznała w jego własnej postaci, myśl ta odbierała mu spokój duszy i zatruwała każdą radość. I pocieszał się tylko tem, że oszukiwał tę ukochaną żonę z litości dla niej, nie chcąc niszczyć jej szczęścia!

Skoro poznał, że Marita zamierza rozłączyć go z Janiną i zdobyć go dla siebie, gdy poznał, że katastrofa stała się nieuniknioną, postanowił wyznać wszystko Janinie.

— Pogardzi mną—pomyślał—i mniej dla tego cierpieć będzie! Umrę, ale niech najpierw odbierze najwyższy dowód mej miłości. Przeklnie pamięć moją i odtrąci mnie od siebie, ale pozna, jak bezgranicznie i jak prawdziwie ją kocham! Pozna, że ona sama panuje w mojem sercu i dowie się, że odepchnąłem ratunek od siebie, byleby z nią się nie rozłączać. Czy mi potem przebaczy?

I podczas kiedy szczegółowo opowiadał przygody swego życia, panowała w salonie cisza grobowa. Marita i Janina siedziała nieruchoma. Marita nie wiedziała już prawie, po co tu przyszła, jedna tylko myśl jasną jej była — to jest, że Cuchillo kocha inną, i że ona już mu jest niczem. Po raz pierwszy uczuła rozpacz—serce jej rwało się z bólu — ach, tego uczucia nie zaznała dotychczas.

Nie poznawała ona samej siebie. Byłaby się śmiała, gdyby jej kto przed kilku dniami był powiedział, że będzie stała wobec rywalki, bez żądzy zatopienia sztyletu w jej serce, że zamiast nienawiści, gniewu i zemsty będzie czuła litość i współczucie dla człowieka, który o niej zapomniał.

— A Janina?

Nie można było odgadnąć, co się działo w jej duszy. Jej wielkie szafirowe oczy patrzały na opowiadającego zdziwionym jakimś, obcym wyrazem, a twarz jej, zwykle tak słodka i łagodna, stała się zimną, surową i ostrą. Może by się sama nie była poznała, gdyby jej ktoś w tej chwili zwierciadło podał. Cuchillo nie zauważył tej zmiany—on nie widział w ogóle nic—mówił o swej przeszłości, spowiadał się i nie bronił się, nie uniewinniał, ostatnia iskra nadziei zgasła w jego duszy. Wydał sam na siebie wyrok śmierci—była to spowiedź umierającego, skruszonego grzesznika, który za chwilę ma stanąć na sądzie Bożym.

Gdy teraz zaczął opowiadać o owym pojedynku, który z walki zwyczajami przepisanej i uświęconej, stał się za sprawą Clermonta morderstwem, i gdy mówił, że konający Paweł Chandors nazwał go mordercą, zdawało mu się, że ma widzenie. Postać kobiety stanęła nagle przed nim, jak gdyby z ziemi wyrosła i przeraźliwym głosem rzuciła mu w twarz owe okropne słowo.

— Morderca! Morderca!

Cuchillo cofnął się przerażony — ale nie było to złudzenie — przed nim stała Stella Chandors, która słyszała wszystko i patrzała na niego płomiennym wzrokiem, wyrażającym wstręt i nienawiść, tłumione od tak dawna!

I Marita podniosła głowę, przerażona tym krzykiem i spojrzała z podziwem na tę piękną dziewczynę, drżącą od gniewu. Stella zupełnie była zmieniona — gorąca krew kreolki, odziedziczona po matce, uderzyła jej do głowy i oblewała twarz purpurową łuną. Oczy płonęły fosforycznym blaskiem, i tak była w tej chwili podobną do matki, że każdy byłby natychmiast poznał w niej córkę pięknej Marity.

Ale Marita nie znała jej i nie domyśliła się niczego.

— Kto jesteś? — zawołała, rzucając się ku niej i chwytając jej ręce. Sądziła bowiem, że Cuchillowi grozi z strony tej dziewczyny największe niebezpieczeństwo.

Janina stała nieporuszona, nie zadrżała nawet na widok Stelli, nie pospieszyła na obronę mężowi. Wyrazem twarzy, w której boleść i wstręt, pogarda i rozpacz walczyły, o lepsze, przypominała twarz sędziego w chwili wyrzeczenia wyroku nad oskarżonym, a jednak nikt nie umiałby powiedzieć, czy blade i zaciśnięte usta wymówią wyrok śmierci czy też ułaskawienie dla nieszczęśliwego przestępcy.

Cuchillo patrzał teraz spokojnie na Stellę, zdawało się, że był już nieczułym na ciosy, jakie los jeszcze mu miał wydzielić!

Stella zwróciła się teraz do Marity.

— Kto jestem? — powtórzyła groźnie. — Jestem księżniczką Chandors, jedyną oprócz ciebie, matko, która ma prawo do tego nazwiska, jestem córką tego, którego ten nędznik zamordował!

O, matko, oddal się od niego, bo niedosyć, że zamor-

dował mi ojca, ale nadto sam kazał mi się nazywać ojcem, podczas gdy krew ojca plamiła mu jeszcze dłonie, i przekleństwo, jakie na niego rzucił, brzmiało mu jeszcze w uszach!

Wyrazy te spadały ostro i nielitościwie z jej ust i trafiały w Cuchilla jak ostre pociski zatrutych strzałów.

— Moja córka — szepnęła Marita.

— Tak matko, — odrzekła Stella, — jestem twoją córką.

I spojrzała na Maritę z wyrazem niezmiernej miłości. Gniew jej znikał zwolna, i piękne czarne oczy napełniły się łzami.

— Ach matko, — zawołała wzruszona, — w jakich warunkach spotykamy się — po tylu latach!

Marita objęła ją w pół i przycisnęła do serca, milczała jednak, nie wiedząc rzeczywiście, co w tej chwili powiedzieć.

Teraz zbliżyła się Janina do niej, sztywna, jak gdyby automatyczna. I monotonnym, bezdźwięcznym głosem rzekła do kreolki:

— Wyprowadź pani ztąd córkę. Zdaje mi się, że słyszała dosyć rzeczy nie stósownych dla młodej dziewczyny. Jesteś pani jej matką, tobie jedynie przysługuje prawo rozkazywania jej. I wszystkie inne prawa zostaną ci przywrócone. Jutro możesz się sprowadzić do tego domu, opuszczam go za godzinę, na zawsze! Proszę tylko jeszcze o chwilę czasu, abym mogła wysłuchać do końca opowiadania tego..... mego męża!

Marita zwróciła się do Janiny, a w spojrzeniu jej nie było już nienawiści — tylko niepewność jakaś i trwoga.

— Pani, — rzekła Janina, — proszę cię, zostaw nas samych!

Marita mimowoli uczuła się głęboko wzruszoną.

— Chodź moje dziecię, — szepnęła do Stelli.

I pociągnęła ją za sobą.

Cuchillo ukrył twarz w rękach i milczał.

A gdy Marita i Stella wyszły, rzekła Janina do niego krótko i rozkazująco:

— Mów dalej!

Cuchillo zadrżał, spuścił ręce i odpowiedział cichym głosem:

— Zaraz skończę!

ROZDZIAŁ VIII.

Opowiadał teraz, jak zamiar udania się do zamku Chandors i odegrania roli marnotrawnego syna powstał w głowie Clermonta, który umiał korzystać z zaniewidzenia starego księcia i jak mu Clermont pomagał w przeprowadzeniu tego planu.

— Resztę wiesz, — dodał, — bo reszta odegrała się w twojej obecności.

— Czy to wszystko?

— Tak, ale.......

— Co masz jeszcze do powiedzenia?

— To tylko, że wówczas nie wiedziałem, że jestem przyrodnim bratem Pawła Chandors.

— Kiedy i od kogo dowiedziałeś się o tem?

— Od księcia, w ostatniej chwili jego życia.

— Nie rozumiem tego. Jakim sposobem mógł ci powiedzieć o tem, uważając ciebie za Pawła?

— Właśnie dla tego powierzył mi tę tajemnicę. Żałował tego postępku, żałował przedewszystkiem, że nie zajął się swojem dzieckiem, polecił mi wyszukać tego syna i odstąpić mu połowę majątku. Poznałem okropną prawdę wtenczas dopiero, gdy wymienił nazwisko mej matki!

— Umarł zatem zupełnie szczęśliwy, bo przekonany o twojem nawróceniu się, jeżeli powierzył ci wypełnienie ostatniego życzenia!

— Szczęśliwy!—szepnął Cuchillo z rozpaczą.—Nie! W przerażeniu, jakiego doznałem przy tem jego wyznaniu, powiedziałem mu wszystko, a on nazwał mnie mordercą, bo miał rozum pomimo gasnących sił. Uciekłem z pokoju, ścigany tem strasznem słowem „morderco!“

— A więc i on umarł w rozpaczy—szepnęła Janina. I po dosyć długiem milczeniu zaczęła znowu:

— Byłeś jednak przy zdrowych zmysłach, żeniąc się ze mną. Zrobiłeś mnie towarzyszką swoją, dałeś mi nazwisko zdobyte za pomocą oszukaństwa i morderstwa, nie mając prawa mi go dawać, ponieważ należało do wdowy po Pawle Chandors, żyjącej dziś jeszcze, która niegdyś kochałeś i która dziś cię jeszcze kocha. Nie posiadam ani cienia prawa, ani do nazwiska, ani do tytułu, jaki noszę, ani do pieniędzy, które ukradłeś i które przez dwa lata wydawałam, jak moją własność... A ponieważ małżeństwo nasze zawartem zostało pod fałszywem nazwiskiem, przeto jest nieważnem! Nieważnem i fałszywem, jak wszystko na tobie! Więc ja od dwóch lat jestem kochanką Jana Pruneau, zbiegłego przestępcy z galerów...

Cuchillo upadł na kolana i z wyrazem najwyższej rozpaczy wyciągnął do niej złożone ręce.

— Tak, to są moje zbrodnie—jęknął—moje grzechy, które życiem okupię!

— To tylko jedna z twoich licznych zbrodni—odparła drżącym głosem—ale może najokrutniejsza z wszystkich. Co ja ci zawiniłam? Dla czego brałeś mnie? Przecież nie miałam majątku!

— Janino, zgrzeszyłem ciężko względem ciebie, ale przypomnij sobie, że małżeństwo to było planem księcia nie moim.

— Książę przeznaczył mnie dla swego syna, a nie dla jego mordercy.

— O wysłuchaj mnie Janino, wysłuchaj! Nie mogę nic powiedzieć na moją obronę — jestem występnym, wiem o tem, nikt nie może potępić i przeklinać więcej, jak ja sam siebie. Ale co się tyczy naszego związku, Janino, przysięgam ci teraz, jak w godzinę śmierci, że nie marzyłem, nie śniłem nigdy, abym mógł zostać twoim mężem. A jednak kochałem cię całą siłą mego serca!

— Ty? Ty kochałeś?

— Tak! Pokochałem cię od chwili, gdy cię pierwszy raz ujrzałem, w ów burzliwy wieczór naszego przybycia do zamku Chandors. Kochałem cię gorąco, uwielbiałem cię, czciłem, jak istotę wyższą, ale nie śmiałem podnieść moich życzeń ku tobie, nie mówiłem nawet sam do siebie, że cię kocham! Musisz przyznać, że nigdy nie zdradziłem się słowem, że nigdy spojrzenie nie zakłóciło twego spokoju. Czułem się nad wyraz szczęśliwym, gdy mi wolno było oddychać tem samem jak ty, powietrzem, patrzeć na ciebie i słuchać twego głosu. Jedynym moim celem i pragnieniem było stać się godnym twego szacunku. Stary książę nie mylił się twierdząc, że ty mnie nawróciłaś na drogę poprawy.

Janina wzruszyła ramionami.

— Nawrócenie, które stosowało się doskonale do roli powracającego i skruszonego syna za pomocą którego obiecywałeś sobie świetne korzyści!

Cuchillo drgnął, jak gdyby go kto w twarz uderzył.

— O, gdybyś wiedziała, jak ciężko mnie ranisz— szepnął ledwie dosłyszalnym głosem.—Ale nie mam prawa skarżyć się. Wyrządziłem ci tak wielką krzywdę, zadałem ci takie cierpienie, że niczem ci tego wynagrodzić nie mogę. A jednak... mam tyle grzechów na sumieniu, że byłoby okrucieństwem z twej strony zwiększać ich ciężar, obwiniając mnie o fałsz i kłamstwo w tym właśnie przypadku. Wszystko co powiedziałem o mojej ku tobie miłości, jest prawdą, wierzaj mi, chociażbyś o wszystkiem innem wątpić miała! Wiem, że postąpiłem haniebnie, żeniąc się z tobą, pod skradzionem nazwiskiem, ale miłość moja była równie czystą jak głęboką i prawdziwą. Nie śmiałem marzyć o posiadaniu ciebie, i nawet wtedy, gdy książe mi rozkazał: ożeniś się z Janiną, ja chcę tego, bo ona jedna utrzyma cię na prawej drodze, nawet wtenczas nie czułem się swobodnym w mem szczęściu i drżałem z dziwnej jakiejś obawy...

Janina milczała. Żaden muskuł nie drgnął w jej twarzy, była zimną, jak gdyby martwą.

— Książę nie mylił się — mówił Cuchillo dalej— przypuszczając, że ty nawróciłaś mnie do dobrego, bo od kiedy ujrzałem ciebie, stałem się innym człowiekiem. Patrzałem na moją przeszłość z wstydem i żalem, ciągłe kłamstwo i oszukaństwo zatruwało mi każdą godzinę życia! Ale zapóźno poznałem ciebie, nieszczęście już się stało, utraciłem cześć, dobre imie i honor, zanim ciebie poznałem i pokochałem.

— Ale nie było zapóźno do wtrącenia mnie w nieszczęście!

— Tak Janino. Popełniłem grzech i zbrodnię, ulegając pokusie, gdy książę dał mi możność posiadania ciebie. Któżby nie był uległ?

— Człowiek honoru!

— Powinienem był uciec, wiem to dobrze. Ale gdy-

bym nawet miał był siłę do wykonania tego, co tysiąc razy zamierzałem, nie było w mej mocy zamiar ten uskutecznić.

— Dla czego nie?

— Ty pytasz, dla czego? Zapomniałaś, że stoję pod wpływem złego ducha, że nie mogę działać podług mej woli, ale podług woli tego szatana? Zapomniałaś, że jestem prostem narzędziem w rękach Clermonta? Że Clermont jest tutaj panem, a ja sługą?

— Clermont? Ah, tak, to pełnomocnik Bernard Danvers, który ci życie uratował — rzekła z szyderczym uśmiechem.

Cuchillo cierpiał okropnie, ale żaden wyrzut, żadna obelga nie dotknęły go tak boleśnie, jak ten uśmiech szyderczy. Poznał, że utracił serce jej na zawsze!

Pomimo to jednak nie umilkł. Tak długo przynajmniej jak mówił, była przy nim, tak długo jeszcze czuł jej obecność i wzrok spoczywający na nim. Było to lepsze, jak widzieć ją odchodzącą na zawsze! Więc mówił dalej:

— Clermont nie byłby nigdy pozwolił na moją ucieczkę, trzymał on mnie mocno w swoich szponach. O Boże, nie ma dla mnie ratunku przed tym szatanem! Jestem z nim złączony nierozerwalnym łańcuchem, którego ogniwa tworzą wspólnie popełnione występki i zbrodnie. A jednak..

— Cóż takiego?

— Jednak musisz sama przyznać, że się poprawiłem, bo czyż w innym razie przyznałbym się wobec ciebie do wszystkiego? Czy egoista postąpiłby tak, jak ja postąpiłem dzisiaj? Inny nie byłby może odrzucił ratunku, jaki mu podawano i nie byłby kosztem miłości zrzucał maski, pod jaką jedynie mógł żyć dalej. Cuchillo, który do ciebie mówi, który klęczy u stóp twoich, Janino, jest tym, który pokochał ciebie i który pozyskał twoją miłość, który żył dla ciebie i przez ciebie, który przez twoją szlachetność i dobroć przyszedł do poznania swoich błędów i który doznawszy najwyższego szczęścia, utracił je teraz, przez własną winę, na wieczne czasy.

I patrzał błagalnie na Janinę, ale ona żadnym nie okazała ruchem, czy ten namiętny krzyk rozpaczy znalazł oddźwięk w jej sercu.

— Wiesz—odezwała się po chwili dosyć spokojnie— że z wszystkiego, co nas otacza, nic nie należy do nas, ani ty, ani ja nie mamy prawa do żadnego przedmiotu. Wszystko jest własnością Marity, wdowy po Pawle Chandors i córki jej Stelli. One powinny otrzymać cały majątek. Nie mogę niestety zwrócić im pieniędzy wydanych w ciągu tych dwóch lat nieszczęsnych. Nie wiedziałam, że tracę cudze pieniądze, że jestem złodziejką! Opuszczam ten dom natychmiast nie zabierając nic nad suknią, jaką mam na sobie.

— I dokąd się udasz?

— To moja rzecz.

— Ale co się z tobą stanie?

— Nie wiem.

— Popadniesz w nędzę...

— Zawsze to lepiej, niż żyć z kradzieży.

Mówiąc to zwróciła się ku drzwiom. Stanąwszy na progu, zatrzymała się jeszcze na chwilę i spytała:

— A ty? Co postanowiłeś?

— Ja—postanowiłem umrzeć.

— To znaczy, że chcesz sobie odebrać życie?

— Tak!

— Dobrze zrobisz — szepnęła i wyszła.

ROZDZIAŁ IX.

Pół godziny po odejściu Janiny spostrzegł Cuchillo, że leży na tem samem miejscu, na jakiem upadł, gdy wychodziła.

Ostatnie jej słowa dźwięczały mu jeszcze w uszach i ciągle jeszcze czuł pogardliwe spojrzenie, jakiem na niego po raz ostatni patrzała. Nie był teraz zdolnym do niczego, nie mógł ułożyć żadnego planu—myśleć nawet nie mógł.

W zwykłem życiu człowieka, obok największego smutku i najdotkliwszej boleści, bywa zawsze jeszcze jakaś, chociażby najmniejsza iskierka polepszenia, wybawienia i ulgi, ale tam, gdzie nieszczęście stanęło na najwyższym stopniu, gdzie rezygnacja zamienia się w rozpacz, tam następuje zupełne odrętwienie, które ma wiele podobieństwa z śmiercią, ponieważ objawia się podobnem do spokoju śmiertelnego milczeniem.

Cuchillo sam nie wiedział czy żyje, czy może jeszcze myśleć, bo wszystkie jego władze żywotne i duchowe skupiały się w wspomnieniu tych kilku słów.

— Dobrze zrobisz, odbierając sobie życie!

Ale taki stan odrętwienia nie może trwać długo u człowieka zdrowego i silnego z natury, więc też i Cuchillo odzyskał wnet przytomność. Poznał, że żył jeszcze, że śmierć nie uwolniła go z cierpień, i że musi jeszcze coś załatwić na świecie, zanim będzie się mógł zbliżyć do upragnionego celu.

Przeszedł się kilka razy po salonie, ale samotność i cisza przerażały go tak, że postanowił udać się do samego pokoju. Tam przynajmniej dochodził go gwar uliczny.

I tu było mu lepiej, tu nie rozegrała się straszna tragedja jego życia.

Rzucił się na fotel, stojący przed biurkiem, i złamany na ciele i na duszy, w smutnych pogrążył się myślach.

Nie należał on do tych, których zbytek i wygody zepsuły i osłabiły, przeciwnie, los wychował go w twardej szkole. Po śmierci matki wzięto go do domu sierot w Tuluzie i tam obchodzono się z nim tak, jak z wszystkimi tymi, którzy zależą od łaski publicznych zakładów dobroczynnych. Zaraz po swem wyjściu ztamtąd musiał rozpocząć walkę o byt, walkę o chleb powszedni. Jako młodzieniec, skazany był za morderstwo z kradzieżą na dwadzieścia lat ciężkich robót na galerach, a życie tam nadało mu hartu fizycznego w całem znaczeniu tego słowa. Pomimo, że musiał pracować dniem i nocą przy lichem pożywieniu i najgorszem obchodzeniu się dozórców, nabrał wiele siły i zręczności, i stał się podpadająco pięknym mężczyzną. Ale moralnie upadł bardzo nizko.

I później, gdy mu się udało uciec z galerów, nie dało mu życie w pampas żadnej wygody i żadnego wytchnienia. Przez cały dzień upał zwrotnikowy, nocą spoczynek na piasku stepowym, jedynem zajęciem paszenie bydła na stepie, a jedyną rozrywką chwytanie i dresura koni dzikich. Jak często musiał przebiegać całemi dniami ziejącą ogniem pustynię za jednem zbłąkanem bydlęciem, spragniony, głodny, skąpany potem, upadający z zmęczenia! A jednak nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek czuł się tak wycieńczonym i słabym, jak w tej chwili. Całe jego życie przesunęło się przed oczami jego duszy, a po nad wszelką biedę i nędzę, jakiej zaznał, przed występkami, jakie popełnił, unosiły się dwie świetlane postacie, którym w życiu swem ciernistem zawdzięczał jedyne szczęście, Marita i Janina! Ale i największego cierpienia doznał od nich. Kochał je obiedwie— byłby się prędzej obył bez światła i powietrza jak bez nich, a teraz właśnie one go wtrącały w ciemną noc rozpaczy i śmierci!

Do Marity żalu nie miał. Pomimo okropnego ciosu, jaki mu zadała, nie powiedział jej żadnego słowa zarzutu. A Janina? Ach, gdy myśl jego zatrzymała się na tej jasnej, uroczej postaci, szeptały usta gorące słowa miłości, pomimo okrutnych jej słów, które głęboko wryły mu się w serce. Zdawało mu się, że słyszy jej głos dźwięczny i pieszczotliwy, przejmujący go zawsze rozkoszą i nie mógł uwierzyć, aby ten sam głos brzmiał dziś w tych okropnych wyrazach:

— Dobrze zrobisz, odbierając sobie życie!

— Tak, ona ma słuszność — pomyślał—ja muszę umrzeć.

I teraz uczuł się silniejszym i zupełnie spokojnym.

— Życie stało się dla mnie niemożliwem, ona mną gardzi! Trzeba skończyć — im prędzej, tem lepiej. Ona zna moje występki—wydała na mnie wyrok śmierci—muszę go wykonać—zaraz...

Zbliżył się do biurka, wyjął rewolwer, a przekonawszy się, że jest nabity, odwiódł kurek i położył go na płycie marmurowej. Z tej samej szuflady, w której leżała broń, wyjął zeszyt, w którym zawartą była jego spowiedź, spisana w ów wieczór, przed pierwszem przybyciem Marity do pałacu.

— Jest to teraz zupełnie niepotrzebne—szepnął i rzucał na ogień na kominku jedną kartę po drugiej. Potem wrócił do biurka, spojrzał na słodką i uśmiechniętą twarz Janiny na portrecie i przyłożył rewolwer do skroni....

Dłoń jego nie drżała, bo nie lękał się śmierci, ale nie strzelił jeszcze — odłożył broń na bok, myśl bowiem jakaś przyszła mu do głowy—chciał się zastanowić, wypełnić ją i potem dopiero położyć koniec swemu istnieniu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Palcie papierosy „S. 13.”



Obuwie

w rozmaitych gatunkach, w wielkim wyborze,
po cenach jaknajtańszych poleca 67

Nep. Skórnicki, Poznań
tylko przy Wodnej ulicy 1.



Bank Związku
Spółek Zarobkowych
w Poznaniu

przyjmuje **depozyta** i płaci zależnie od długości wypowiedzenia $3^1/_2$, 4, $4^1/_4$ i $4^1/_2$%, obliczając procent od dnia złożenia pieniędzy. Od kapitałów większych, płatnych każdego czasu, oblicza 1% niżej każdorazowego dyskontu Banku Rzeszy, wszakże nie niżej $3^1/_2$%,

poleca się do **zaprowadzenia kont czekowych** na mocy deponowanej gotówki, zwracając szczególną uwagę, że czeki płatne są bez wszelkiej prowizyi także w Berlinie,

kupuje i sprzedaje **listy zastawne, rentowe i wszelkie papiery państwowe i giełdowe,**

zmienia **pieniądze zagraniczne** i wydaje **przekazy i akredytywy** na wszystkie ważniejsze miasta europejskie i amerykańskie,

dyskontuje **weksle** i udziela pożyczek na zastaw **hipotek,**

wydzierżawia **kasetki** w swym **trezorze stalowym** do przechowywania walorów i przedmiotów wartościowych. 359

Hurtownie! Detalicznie!

Farby,
pokosty, lakiery,
froter, masę woskową

do odświeżania podłóg, mebli ogrod., płotów etc., jako też potrzebne 650

szczotki i pędzle

do tychże

Carbolineum

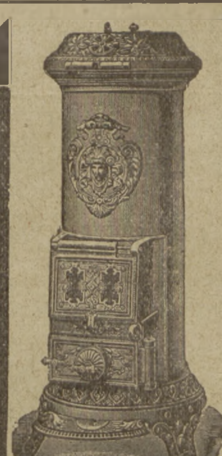
koloru orzechów. — Wszystko znane ze swej dobroci poleca po znanych tanich cenach **hurtownie i detalicznie**

Centralna Drogerya
J. Czepczyński,
Poznań, Stary Rynek 8.
Telefon nr. 238.



Fabryka i magazyn mebli.
ul. Wodna 10.
I. Silski, majster stolarski,

poleca meble własnego wyrobu.
Meble wyścielane, lustra, całkowite wyprawy, jako i **pojedyńcze urządzenia pokoji.**
Dogodne warunki wpłaty. 307



Piece

Hansena, oraz iryjskie z ogniem nieustającym **bardzo praktyczne z powodu oszczędności opału** wącznie z rur, kolan i rozety franko.

No.	1	2	3	4	5	6
po M.	19,	21,	25	9,	38,	51,

salonowe ozdobne
po M. 20, 25, 30, 36, 42, 57;

Szafy żelazne ogniotrw.

Naftowe
piecyki do ogrzewania bez czadu pod gw. po **M. 22,50.**
Cenniki darmo i franko.
Antracyt angielski poleca 89

Firma T. Otmianowski,
właściciele
B. Ziętkiewicz, S. Mińcikiewicz.
Poznań—Bazar — Telefon 565.

Większe i mniejsze
majątki ziemskie

na Górnym Śląsku, z martwym i żywym inwentarzem, dobrze zagospodarowane,
po stosunkowo niskiej cenie,
oraz dobrze rentujące się

domy

wskaże każdego czasu 459

Hieronim Kiełpiński w Bytomiu
(Beuthen O/S.) Gartenstr. Nr. 2.

W. Sulicki
Inowrocław
w hotelu Basta.

Tylko jedyny polski skład gotowych **damskich i męzkich futer.** Wszelkie zamówienia na **futra,** wykonuje się spiesznie w własnej pracowni podług **najnowszych żurnali.**

Wielki wybór **kapeluszy i maciejówek** własnego wyrobu. 636

Kurs nauki szycia i kroju toalet damskich

podług najlepszego i najłatwiejszego systemu można pod bardzo przystępnemi warunkami zaczynać każdego czasu. Po dokładnem wyuczeniu się można dostać stałe zajęcie. 458

Bronisława Gałecka,
Confection de dames.
Poznań, Jezuicka ulica nr. 12.

Właściciele i Wydawcy: „Praca“ Drukarnia Nakładowa Sp. z ogr. p. — Redaktor odpowiedzialny: Bolesław Rakowski w Poznaniu.
Drukiem „Pracy“ Drukarni nakładowej w Poznaniu